

informer

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



nr 256

lipiec-sierpień 2010

EUROCON PARCON POLCON

Cieszyn/Český Těšín, 26-29.08.2010

Goście:

Steven Erikson

Alan Campbell

Juraj Červenák

Andrzej Sapkowski

Pavel Weigel

Miroslav Zamboch



Grafika pochodzi z gry MACHINARIUM
(www.machinarium.com)
© Amanita Design

MIECZE NA 600-LECIE, ZBROJE NA 1000-LECIE

Sześćsetna rocznica bitwy pod Grunwaldem sprowokowała wiele inicjatyw i dyskusji. Wymienić można chociażby: przygotowaną z wyjątkowym rozmachem (nie licząc, niestety, turystycznej logistyki) inscenizację na podgrunwaldzkich polach, animowane spoty Bagińskiego, cyfrową rekonstrukcję filmu Forda, artykuły o najrozmaitszych mitach i faktach dotyczących państwa krzyżackiego.

Nie będę tu jednak pisał o wielkiej historii i domniemanych jej alternatywach – ani o obrazie Krzyżaka utrwalonym chociażby w klasycznej powieści Sienkiewicza, w wielu rozdziałach *Wiatru od morza* czy w gdańskich opowiadaniach Fenikowskiego. W naszym klubowym periodyku skupię się na sprawach bardziej luzackich.

Szczery podziw budziły wszelakie bractwa rycerskie z kraju i zagranicy. Też, trzeba im to przyznać, mają ciekawe hobby – a przebiegają się wszak nie tylko na coroczne konwenty, ale funkcjonują de facto przez cały rok. Przypomina mi się tu, nieżyjąca już od lat, Beata Matuszak: jedna z założycielek Collapsa i GKF-u, która potem opuściła fandom właśnie dla działalności w bractwie rycerskim. Dodam zresztą, iż aktywne od jakiegoś czasu grupy starwarsowców stanowią, ze swoimi strojami oddającymi z pietyzmem klimat gwiazdnej sagi, swoisty „pomost” między fanami fantastyki a rekonstruktorami historii.

Gdy w połowie lipca patrzyłem na te wszystkie zbroje, a także na telewizyjne migawki z podobnych uroczystości w PRL-u, przypomniła mi się anegdota z mego dzieciństwa...

Latem 1966 roku skończyłem właśnie przedszkole i wybierałem się do pierwszej klasy podstawówki (młodym Czytelnikom wyjaśniam, iż wówczas nie było „zerówek”). Na kilka dni pojechałem wtedy z rodzicami i babcią do naszej, licznej wtedy, rodziny w Warszawie. Jadąc tam – najbardziej chciałem zobaczyć Pałac Kultury i Nauki (moja babcia i mama – obie rodowite warszawianki, urodzone i mieszkające do wybuchu powstania na Krakowskim Przedmieściu – musiały czuć się nieco dziwnie; nic to, dorosłem: teraz, bywając w stolicy, preferuję raczej Łazienki, Ogród Saski, Trakt Królewski oraz Stare i Nowe Miasto).

Był to rok wyjątkowo okrągłego i ważnego jubileuszu: Tysiąclecia Państwa Polskiego. Gomułkowska propaganda zawłaszczyła to święto na całego (np. – chociaż data nawiązywała bezpośrednio do Chrztu Polski – wbrew europejskiej tradycji nie wpuszczono do naszego kraju papieża Pawła VI). Jeden z elementów obchodów był akurat całkiem efektowny: wielka defilada w historycznych strojach. Bardzo się na nią ja, siedmioletni brzdąc, nastawiłem!

Parę dni wcześniej zaprowadzono mnie do Muzeum Narodowego i do, znajdującego się w tym samym kompleksie gmachów, Muzeum Wojska Polskiego. Nie muszę chyba pisać, że to drugie wywarło na mnie nieporównanie większe wrażenie (oraz że za dorosłości i te proporcje mi się odwróciły). Rozczarowało mnie tylko jedno: w dziale średniowiecznym stała jedynie jakaś samotna zbroja. Jak wyjaśniły panie oprowadzające – cała reszta została wypożyczona na Wielką Defiladę. Tym bardziej nie mogłem się owej defilady doczekać!

Zatrzymaliśmy się u wujostwa przy ul. Rutkowskiego (obecnie znowu Chmielna). Do Marszałkowskiej i Placu Defilad było więc dosłownie parę kroków. Nadszedł wyczekiwany dzień defilady. Rodzina siada do śniadania, włącza telewizor – a tam, na małym, czarno-białym ekraniku, widzę zastępy maszerujących, zakutych w żelazo, rycerzy. Zacząłem błagać, byśmy już wyszli to zobaczyć. Dorośli okazali się jednak niewzruszeni: najpierw śniadanie, a potem – na spokojnie zdążymy... Rycerze defilowali, ale moje płacze nic nie pomagały. Po naprawdę długim czasie rodzina raczyła się ruszyć. Wzdłuż Marszałkowskiej, na wysokości dzisiejszej Sciany Wschodniej, stał tłum. Jacyś panowie nas przepuścili, wujek wziął mnie na ręce. Patrzył na plac – a tam... jada platformy z jakimiś gimnastyczkami. Zrozumiałem, że rycerzy już nie będzie. W bezbrzeżnej rozpacz i słusznym gniewie wrzasnąłem na cały głos: „Ja mam w dupie tę całą defiladę!”. Natychmiast się zmyśliśmy (i dostałem straszliwą burę).

Ale dziś tak sobie myślę, że to nie ja wykazałem się totalnym brakiem empatii...

URODZINY

Drodzy październikowi Urodzeńcy!
Z uwagi na jesienną porę życzymy,
żeby Was w krzyżu nie bolało!

INForedaktory

- | | |
|-------------------------------|---------------------------------|
| 2 Joanna Kamrowska | 10 Rafał Gosiecki |
| Mieczysław Sierociński | 13 Tomasz Kołodziejczak |
| 3 Joanna Klimas | 19 Karolina Górską |
| Andrzej Zimniak | 21 Grzegorz Kozubski |
| 4 Edward Kołakowski | 23 Krzysztof Chmielewski |
| 5 Janusz Bułakowski | |



CZAS ŻYCIA I CZAS ŚMIERCI

12 września 2010 roku odbył się w kościele Św. Judy w Gdańsku chrzest Izabeli Bortkun „Fortepianówny” (ur. 5 maja 2010 r.).



12 września 2010 roku odeszła od nas po ciężkiej i kilkuletniej chorobie Maria Szmigiel "Maja", nasza długoletnia koleżanka i przyjaciółka. Od początku istnienia klubu „The First Generation” wspierała naszą działalność jako sympatyk, aby w późniejszym czasie zostać członkiem. W ostatnich latach choroba nie pozwalała Jej aktywnie uczestniczyć w życiu klubowym. Będzie Jej nam brakowało.



TRZY KONWENTY, DWA MIASTA, JEDNA RELACJA

Na Eurocon do Cieszyna wybrałem się z ulgą, bo tuż po remoncie mieszkania. Jako że dalej już w Polsce konwentu zorganizować się nie dało, postanowiłem dojechać na niego etapami. Najpierw parę dni odprężyłem się we Wrocławiu. Potem dojechałem do Katowic, gdzie spotkałem pod autobusem Kubę Ćwieka razem z dużą grupką członków ŚKF. W busiku trafiłem na Tandi, Janusza i Studenta, i już razem dotarliśmy na miejsce.

Konwent został zorganizowany w dużym kampusie Uniwersytetu Śląskiego. Wszystko, łącznie z akademikami i konwentową knajpą, było zlokalizowane w jednym miejscu, co bardzo ułatwiało funkcjonowanie. Niestety zabrakło miejsca na games room, który został zlokalizowany w Czeskim Cieszynie. Był to jedyny znaczący mankament imprezy, wynikało to jednak z warunków lokalowych, a nie z problemów organizacyjnych.

Otwarcie Euroconu odbyło się na Moście Przyjaźni pomiędzy Czeskim Cieszynem i Cieszynem, z udziałem burmistrzów obu miast, Kubę Ćwieka w roli wodzireja i Davida Lally'ego (szefa europejskiego fandumu). Chwilę wcześniej z czeskiego rynku ruszyła na polską stronę parada przebierańców. Odważne władze Cieszyna na cały wieczór oddały fantomom we władanie swój rynek – po dotarciu na miejsce w samym centrum miasta odbyły się prezentacja w konkursie strojów i koncert.

Cały czwartek i piątek upłynęły mi na tradycyjnej integracji i na wyławianiu z programu co bardziej interesujących punktów. Czeskie, słowackie, polskie i angielskie punkty były przemieszane ze sobą, co miało ułatwiać integrację – chociaż przewaga liczebna polskich uczestników była tak duża, że często przedstawiciele innych fandumów się nie zauważało. Wyraźna była natomiast obecność dużej grupy Chorwatów, którzy przyjechali promować Eurocon 2012 w Zagrzebiu. Integracja najpełniejszy wymiar przybierała w pobliskiej knajpce na świeżym powietrzu, gdzie – zajadając się kiełbaskami i opijając poznańskim bimbrem – komitety zawierały duże grupy z Drugiej Ery i licznie reprezentowanego GKFu.

Sobotę miałem trochę pracowitą, bo najpierw głoso wałem za zagrzebskim Euroconem, a potem protokołowałem Forum Fandomu. Tandi udała się na liczenie głosów oddanych na zajdle, a tymczasem organizację Polconu w 2012 r. otrzymał wrocławski fandum, który przybrał kryptonim Wroclavia Fantastica.



Z miłszych momentów imprezy wspominał będę spotkanie z Orsonem Scottem Cardem, który bardzo zajmująco opowiadał o tym, czego szuka w swoich postaciach, a przy okazji na każdym kroku wykazywał się szacunkiem dla widowni i dla czeskiej tłumaczki, która miała problem z powtórzeniem barokowych, wielozdaniowych konstrukcji słownych autora. Przy okazji dowiedzieliśmy się o stanie przygotowań do ekranizacji „Gry Endera” – OSC odrzucił już sześć skryptów, w których scenarzyści dokonywali drastycznych poprawek do oryginalnej historii (np. planując śmierć wszystkich bohaterów).

Uroczystość zamknięcia, po raz pierwszy w historii Polconów, odbyła się w hali sportowej – tej samej, w której swoje mecze rozgrywają cieszyńscy hokeiści. Impreza miała charakter relatywnie skromny – wręczanie nagród fandomów czesko-słowackiego i polskiego odbywało się w szybkim tempie. W tym roku zajądle dostali Robert Wegner i Ania Kańtoch. Na koniec David Lally ogłosił przyznanie specjalnej nagrody Euroconu Sapkowi, którego nie było na sali. W tym czasie integrował się w pubie konwentowym.

Za dużo czasu zajęłoby opisywanie wszystkich spotkań i piw wypitych ze starymi znajomymi, przyjaciółmi i kolegami. Krótko wspomnę tylko o tym, że osobiście m.in. w czwartek integrowałem się z Białymstokiem i Poznaniem, a w piątek na rynku z Lublinem.

Organizatorzy stanęli na wysokości zadania. Był to jeden z tych konwentów, na których nie widać, że ktoś je przygotowuje – nawet na miejsce kilku wypadających prelekcji natychmiast pojawiały się prelekcje rezerwowe. Wszystko odbywało się płynnie, o czasie i bez bałaganu (a w każdym razie praktycznie wszystkie przejawy tego ostatniego orgowie zdołali ukryć). Rzuciła się w oczy m.in. świetna organizacja recepcji, która w najgorętszych godzinach w czwartek obsługiwała przyjezdnych w tempie karabinu maszynowego.

Dobrym pomysłem było zrezygnowanie z większości spotkań autorskich, które odrobinę się na konwentach przejadły – z wyjątkiem spotkań z gośćmi honorowymi. Świetnie egzamin zdała specjalna sala dla przygotowujących się do swoich punktów prelegentów, w której można było zjeść czekoladkę, wypić kawę i w spokoju ostatni raz przejrzeć notatki (sam przetestowałem salkę przed swoim konkursem). Dużym powodzeniem cieszyły się sesje autografów na specjalnie przygotowanych stanowiskach przy schodach.

Podsumowując – to był naprawdę fajny konwent. Mnóstwo ludzi, program zaplanowany z głową, sporo opcji integracyjnych na terenie konwentu i na obu rynkach – można było się w pełni zrelaksować w dobrym towarzystwie. Dobra robota.

Marcin Szklarski

Zdjęcia: CD-Jack, Bool, M. Szklarski



LARPOWISKO



Migawka jednego dnia

Na przełomie lipca i sierpnia odbył się Hardkon, festiwal terenowych gier fabularnych. Organizatorzy oraz twórcy programu dostarczyli uczestnikom niemałej porcji rozrywki w postaci różnego rodzaju gier terenowych oraz LARPów. Czwartego dnia, a konkretnie 3 sierpnia, konwent odwiedził Krzysztof „Shaman” Chmielewski, twórca LARPów z Trójmiasta. Przeprowadził on trzy gry w ciągu jednej doby.

Pierwszy LARP przeprowadzony przez Shamana nosił nazwę „Little Village Extreme”.

Akcja miała miejsce w małym miasteczku, w Stanach Zjednoczonych. Wszyscy mieszkańcy wiele lat temu zgodzili się żyć tam wspólnie, w małej utopii, wolnej od problemów otaczającego świata. Byli samowystarczalni, wiedli spokojne życie, z dala od cywilizacji, konfliktów i wielkiej polityki. Pewnego dnia natomiast ich spokój zburzył Agent CIA, który nieoczekiwanie pojawił się w wiosce, w dniu świątecznym. Do tego, przedstawił jakąś podejrzaną ofertę, mówiącą o wysokim datku pieniężnym dla mieszkańców wsi, pozornie w prezencie. Przy czym delikatnie dał do zrozumienia, iż nie spodziewa się odmowy, natomiast gdyby komuś wpadł do głowy ten absurdalny pomysł, zgodnie z wcześniejszą umową, dany delikwent zobowiązany jest do opuszczenia wsi.

W związku z powyższym, wnioskiem nietrudnym do wysnucia jest fakt, iż tajemniczy gość nie był przez mieszkańców wioski specjalnie lubiany. Co za tym idzie, wytworzył się front, mający na celu utrudnienie gościowi pracy. Całą akcję nakręcał Cwany Tex, właściciel pickupa. Jako że był już obeznany z pojazdami dwusładowymi, pokierował chytrym planem włożenia ziemniaka w rurę wydechową samochodu agenta, aby ten nie mógł przypadkiem opuścić wioski w nieodpowiednim momencie. Agent CIA miał zostać przy sprzyjających warunkach wyeliminowany, przy czym śmierć jego nie powinna wzbudzać podejrzeń. W końcu to agent rządowy, a zadzieranie z państwem rzadko kiedy dobrze się kończy.

Plany zabójstwa były różne: agent miał przypadkiem wpaść pod koła traktora, udławić się domową szarlotką czy też z nagłego ataku depresji popełnić samobójstwo. Ostatecznie, przy próbie pozbycia się gościa za pomocą pistoletu, mieszkańiec wioski sam poniósł śmierć. Niestety, wyższa idea zwykle zbiera żniwa.

W wiosce mieszkał także Doktor. Zawsze darzony był sympatią, którą niestety stracił w dniu przyjazdu agenta. Stało się to z prostej przyczyny: był po jego stronie. Jak się potem okazało, nie bez przyczyny. On sam zaangażowany był w brudną grę rządową, polegającą na przeprowadzeniu eksperymentu na ludziach zamieszkujących wioskę. Za pomocą różnokolorowych tabletek doktor sterował mieszkańcami wsi. Niestety, sposób 'trybu leczenia' uległ zmianie, co spowodowało niemałe trudności w wykonywanej przed Doktorą pracy.

Fabała LARPa oparta była na prawdziwej historii, mającej miejsce w szpitalu psychiatrycznym. Zazębiała się ona z początkami powstawania gier RPG i opierała się na manipulacji umysłów silniejszych nad słabszymi. W grze wzięło udział szesnaście osób, każdy przyszedł w odpowiednim przebraniu, adekwatnym do realiów świata.

Kolejny LARP, „Kciulu – Przystanek Alaska”,

odbył się w godzinach popołudniowych. Fabuła gry miała miejsce w czasach współczesnych, w górskich ośrodku turystycznym. Odbyło się tam spotkanie klasowe absolwentów liceum, którzy po wielu latach odnowili kontakt za pomocą dobrze wszystkim znanego portalu „Nasza Klasa”. Umówili się oni na konkretną godzinę. Niestety, warunki pogodowe pozwoliły na przybycie jedynie dziewięciu osobom. Towarzyszyła im także turystka, którą śnieżycza zmusiła do zaprzestania marszu i znalezienia schronienia.

Z początku spotkaniu towarzyszyła drętwa atmosfera, lata braku kontaktu dały o sobie znać. Większość ludzi się zmieniła, a klasowe ofermy, o dziwo, wyszły na porządnym i wysoko postawionych obywateli. Kiedy napięcie uległo chwilowemu rozluźnieniu przy szklaneczce wina, podniosły nastrój dnia zaburzyło nietypowe znalezisko w zlewie, a konkretniej ludzkie ucho.

Od tej pory sytuacja przestała wydawać się wesoła. Szczególnie że każdy uczestnik spotkania zdawał sobie sprawę, że obecnie znajduje się w miejscu odciętym od świata, przynajmniej przez najbliższe kilka godzin. Telefony nie działały, drogi okazały się całkowicie nieprzejezdne. Do tego mieli świadomość, że po ośrodku najprawdopodobniej grasuje psychopata.

Nastroje bywały różne. Jedni siedzieli przerażeni przy kominku, inni starali się zbadać cały ośrodek, jeszcze jedna grupa zaczęła zdejmować ze ścian różnego rodzaju rekwizyty militarne. Doszło do tego, że jeden delikwent biegał po pensjonacie z dwuręcznym mieczem, inny z toporem. Poziom absurdu i paranoi osiągał wyżyny, natomiast cała sytuacja nie rysowała się zbyt kolorowo. Co jakiś czas ktoś zniknął, a potem pojawiał się z jakąś głupią wymówką.

Ostatecznie wpadło do ośrodka dwóch wojskowych z karabinami, przerażonych znaleziskiem z terenu przyległego – sporą ilością ludzkich szczątków w przeróżnych konfiguracjach i stopniu rozkładu. Co się okazało, ośrodek od dłuższego czasu przejęty był przez obcych, którzy żywili się turystami i przejmowali poszczególne ciała. Głównym obcym był Maxim, który wcielił się w Jurka, klasową oferkę, następnie w jego ciele zarażał, zjadał bądź też przeistaczał innych.

Podczas całego LARPa panowała atmosfera grozy. Gracze wcielili się w postaci o różnych charakterach i cechach indywidualnych, co wyraźne było szczególnie w sytuacjach zagrożenia. W grze uczestniczyło dziesięć osób.

Wieczorem odbył się LARP „Dom Sztuk Odrodzony”

w realiach świata World of Darkness. Akcja dotyczyła się na tajnym spotkaniu spiskowców, na które zostali zaproszeni wszyscy, którzy maczali palce w niedoszłym zamachu na nienawidzoną hrabinę. Nastrój był dość nietypowy i tajemniczy. Wszyscy spiskowcy zobowiązani byli do nieujawniania tożsamości, co egzekwowane było za pomocą masek. Zamaskowani zbrodniarze siedzieli przy czterech stołach w zimnej piwnicy, w tajemniczym półmroku, przy migotliwym blasku świateł. Cienie rosnące na ścianach dodawały grozy, strach wzbudzała świadomość, że ktoś zdradził. Na kogo padnie podejrzenie, kto zostanie usunięty? Mógł nim być każdy.

Cztery stoły symbolizowały cztery frakcje: złotych, czerwonych, zielonych i niebieskich. Przy głównym stole zasiadała frakcja złotych, gdyż to nimi kierowała Słońce – organizatorka tajnego spotkania i zamachu na życie hrabiny. Hrabina wciąż żyła, zatem bezustannie nasuwało się pytanie, kto zawinił. Każda z frakcji miała inne zadanie odnośnie morderstwa: przygotowanie i dostarczenie trucizny, pozbywanie się świadków i zacieranie śladów, usunięcie samej hrabiny czy też pilnowanie, aby nic nie wydostało się do mediów. Pozornie każda z frakcji dobrze wykonała swoje zadanie.

Każdy ze spiskowców miał swój pseudonim, którym posługiwał się podczas spotkania. Nikomu nie było wolno ujawnić tożsamości. Akcja dzieliła się na obradowanie przy stołach i przerwy, podczas których każda z frakcji naradzała się nad dalszym postępowaniem oraz spiskowała.

Najbardziej tajemnicza wydawała się frakcja niebieskich, gdyż nie wyciągali oni pozornie żadnych korzyści ze śmierci hrabiny, natomiast bezbłędnie wywiązywali się z powierzonych im zadań. Ich obecność na spotkaniu miała charakter czysto prywatny: byli psionikami i poszukiwali osób, których krew pozwoli im wskrzesić potężnego, starożytnego maga, dzięki któremu zdobyliby nieograniczoną władzę.

W pewnym momencie wszystko zaczęło iść na opak. Okazało się, że cały plan morderstwa od początku skazany był na porażkę, gdyż hrabina jest wampirem. A jak wiadomo, trucizna na owe stworzenia nie działa. Odkryła to frakcja niebieskich. Doprowadziła ona do zamieszania, podczas którego doszło do starć frakcji oraz ujawnienia prawdziwej tożsamości Słońca z frakcji złotych – okazała się ona hrabiną z klanu Malkavian, kontrolującą spisek na własne życie. Do tego ujawniła się Usta z frakcji niebieskich. Co się okazało, to ona była owym pozornym uśpionym magiem, który chciał mieć spokój i udaremnić próbę własnego wskrzeszenia.

Takim oto sposobem księżna wybrała, kogo oplaca się mieć po swojej stronie, a kogo należy zlikwidować.

Był to LARP, w którym w owym dniu brała udział największa liczba osób, to znaczy dwudziestka graczy. Zaletą była pora dnia, w której się odbywał, mrok, tajemnica i taniec świateł nadawały całej grze osobliwy nastrój grozy.

Każdy z LARPów tego dnia był w innej konwencji, wszyscy mogli znaleźć coś dopasowanego do własnych preferencji. Akcje były dynamiczne, gracze sumiennie wcielali się w role odgrywając psychikę postaci, czy też rozterki moralne. Uczestniczyli przebrani w stroje adekwatne do realiów, co jeszcze lepiej kreowało nastrój. Cały dzień do bólu wypełniony był atrakcjami, tak że aż zabrakło czasu na nudę. Zarówno gracze jak i Mistrz Gry wykazali się sporym zaangażowaniem i sumiennością, dzień był pełen wrażeń.

Beata „Ariien” Bąkowska



To nam się nie przywidziało!

W ostatni weekend sierpnia (28-30.08) w Przywidzu wydarzyło się Przywidzenie, spotkanie larpmasterów i graczy z całej Polski zorganizowane przez grupę zapaleńców z Funreal i Gdańskiego Klubu Fantastyki. Obecni byli między innymi poznański Noctem, wrocławski Wielosfer czy prezes Stowarzyszenia Funreal Piotr Milewski. Przez trzy dni kilkadziesiąt osób grało, wymieniało się doświadczeniami i integrowało. Jediną formą promocji zlotu były imienne zaproszenia, które, zdaniem organizatorów, pod hasłem elitaryzacji wydarzenia miały ukryć niedostatki organizacyjne. Ja również zostałam zaproszona, jako początkujący gracz z perspektywami na rozwój, a wspomnianych niedostatków nie stwierdziłam. Wrażeniami z owej przywidzianej imprezy zamierzam się podzielić.

Po wyczerpującej, wielogodzinnej podróży stawiałam się w sobotę w Przywidzu, by zgodnie z instrukcjami podążyć leśną drogą. Nie znając celu wędrowki, z pewną obawą szłam przed siebie, gdy spostrzegłam idącego ku mnie żołnierza z bronią. Żołnierz ów wypowiedział niezrozumiałe słowa po niemiecku i zaczął eskortować mnie do terenu ośrodka „Zacisze”. Tak oto, od samego przybycia, rozpoczęło się wprowadzanie

w klimat gry głównej, która miała trwać przez kolejne kilkadziesiąt godzin. Na miejscu powitana zostałam przez głównych organizatorów – Jana „Talhora” Zygmuntowskiego i Krzysztofa „Shamana” Chmielewskiego, oprowadzona po ośrodku, przydzielono mi również miejsce do spania uzależnione od mojej roli w grze głównej. Po krótkiej integracji i dojechaniu spóźnialskich, rozpoczęliśmy zabawę.

Gra główna rozgrywała się w realiach II Wojny Światowej z perspektywy strony niemieckiej. Miejscem akcji był teren obozu szkoleniowego Wehrmachtu nad jeziorem Ebensee. Jednym z elementów gry była szczegółowa rekonstrukcja historyczna warunków pracy oficerów szkoleniowych w 1942 r. Odtworzyliśmy strukturę wojskową. Obozem dowodził generał, podlegali mu oficerowie, wśród nich dowodzący pięcioma drużynami kadetów – trzech męskich i dwóch pełnych piękna niemieckich kobiet. Był to zbiór różnych osobowości, każdej z jakimiś aspiracjami i celami. Większość intryg, knowań, zwrotów akcji i rozwoju fabuły następować miało na tym szczeblu, w kantine dowódców.

Mnie przypadła rola pani porucznik dowodzącej drużyną Północ – jedną z dwóch żeńskich grup szkoleniowych. Podlegało mi pięć kadetek. Wraz z panią kapitan z drużyny Południe, poza udziałem w głównej fabule, organizowałyśmy szkolenia teoretyczne i praktyczne, kursantki miały na przykład stworzyć mapę terenu, uczyć się szyfrowania wiadomości i obsługi broni. Były przy tym bacznie obserwowane, a ich oddanie III Rzeszy skrzętnie notowane. Każdy oficer szkoleniowy prowadził system ocen, na podstawie którego w finale gry decydował, kto z kadetów ukończy szkolenie, a kto zostanie zesłany na front. Moje kadetki ukończyły kurs, a przynajmniej te, którym udało się przeżyć. Zabawa nie ograniczała się do terenu ośrodka, część manewrów odbywała się w lesie, nie zabrakło pościgów, skradania, a nawet użycie motorówki! Wieczorną imprezę w kantine uświetnił koncert harfiarki Basi Karlik, jak zawsze magiczny. Pierwsza część larpa zakończyła się około północy, chętni mogli grać



dalej. Przyznaję, opadłam z sił. Udałam się do kwatery oficerskiej, przygotowałam do snu, przykryłam śpiworem, gdy nagle do środka wbiegła jedna z moich kadetek, przynosząc niepokojące wieści (i, jak się później okazało, okradając kwaterę). Moja potrzeba snu przegrała z potrzebą przygody i dzięki jej za to, bowiem w nocy nastąpiła najciekawsza, według mnie, część gry głównej. Były zwroty akcji, ataki, motorówka, efekty pirotechniczne, strzelaniny. Gdzieś tam po drodze weszłam w bagno, wskoczyłyśmy w pokrzywy, po kryjomu przeglądaliśmy tajne dokumenty. Warto było nie spać. W okolicy czwartej nad ranem zrobiliśmy jednak przerwę na sen, by ruszyć ponownie o dziewiątej. Rozruch nie wypalił, miał opóźnienie, guzdraliśmy się ze śniadaniem, myciem zębów, gra mieszała się z offtopem, w końcu udało się zorganizować i doprowadzić do jej finału.

Była to moja pierwsza w życiu „gra główna”, więc nie mam porównania, mimo to uważam ją za udaną. Scenariusz był ciekawy, przygotowanie terenu, charakteryzacje, historyczne rekonstrukcje na wysokim poziomie, gracze wspinali (niektórzy tak weszli w swoje role, że po wyjściu z nich ciężko było ich rozpoznać), a mistrzowie gry zaangażowani. Brakowało nam trochę wprowadzenia w realia, ujednolicenia niektórych zachowań, jak np. sposobu salutowania, niektórzy z nas nie interesują się II Wojną Światową. Ja jestem właśnie takim przykładem historycznego ignoranty, tydzień przed Przywidzeniem dowiedziałam się, czym tak właściwie była Abwehra i co się działo

w 1942 roku. Gdyby z zewnątrz spojrzeć na nas historyk, zobaczyłby grupę poprzebieganych gdzieś bez ładu i składu ludzi, którzy czasem nie wiedzą, w jakim okresie historycznym i w jakim kraju się znajdują (oczywiście w grze). Popępiałam masę błędów wynikających z mojej niewiedzy i obwinać za to mogę wyłącznie siebie. Serdecznie dziękuję za wyrozumiałość.

W niedzielę po południu kontynuowaliśmy maraton larpowy. Muszę przyznać, że mój organizm odmówił współpracy i niektóre atrakcje przespałam, za co będę kiedyś cierpieć w którymś piekielnym kręgu. Na początku wystartowały równocześnie larp o schronisku dla bezdomnych „Fork Washington” prowadzony przez Piotra „Mendę” Billewicza i gra terenowa „Ramówka” Stanisława Dębickiego, w której walczyły o czas antenowy drużyny Smerfów, Czterech Pancernych i Drużyna A. Każda z drużyn posiadała specjalną oprawę wizualną i umiejętności. Smerfy twarze miały umorusane na niebiesko, a na głowach białe czapki (rzecz jasna poza Papą Smerfem, który lubił czerwony). Ponoć najbardziej wymiałał skill Smerfетки zwany „gang bang”, którego opis działania pominę ze względu na podteksty erotyczne. Drużyna A latała tekturowym samolotem, a Czterej Pancerni biegali z Rudym 102 na głowach. Nie wiem, jaką umiejętność miał pies. W tle przygrywała muzyka z seriali i ogólnie wszystkim było wesoło.



Później ruszyły symultanicznie kolejne dwie gry. W świetlicy Talhor poprowadził „107,5 Fahrenheita” w klimacie orwellowskim. W dwóch zaciemnionych domkach Shaman serwował „Skrzydło czy nóżka?”, larp luźno osadzony w realiach Hospiterror. Odegrałam w nim małą rolę jako zewnętrzny efekt audiowizualny, tupiąc butami po tarasie i szorując latarką po oknie. Zaiste, rola życia.



Na wytrwałych czekała kolejna atrakcja – nastrojowy „Dom na wzgórzu” Oskara „Osaki” Miecznikowskiego, a pozostali do późnych godzin nocnych mogli integrować się przy ognisku, co sama z przyjemnością praktykowałam. Nie przeszkadzała deszcz ani mokre drewno, powstawały piramidalne konstrukcje i ogień udało się utrzymać przez wiele godzin. Z powodu zakazu spożywania tubylców, ograniczyliśmy się do kiełbasek i złocistego płynu. Tak to, mile gawędząc, dotrwaliśmy niemal do świtu. Wczesnoporanna mgła wznosiła się nad jeziorem, gdy opadłam na łóżko i straciłam przytomność.

W poniedziałek wcześnie rano na najbardziej zdeterminowanych czekała „Pogodna 44”, nagrodzona na Pyrkonie drama przenosząca w sam środek Powstania Warszawskiego. Była to ponoć ostatnia odsłona tego larpa. Za fakt przespania go będę się smażyć w piekle. Gra ta zakończyła nasz trzydniowy piknik. Na pamiątkę dostaliśmy okazjonalne przypinki-identyfikatory. Po końcowych uściskach pozostał jedynie mozolny powrót do domu w świetnym towarzystwie. I obietnica, że spotkamy się za rok.

Dla mnie, jako początkującego gracza, Przywidzenie było chyba najważniejszym wydarzeniem larpowym tego roku, bardzo udanym i inspirującym. Miałam okazję poznać graczy z różnych rejonów kraju, poobserwować lepszych i bardziej doświadczonych. Nabrałam ochoty na więcej i już wiem, że moje zainteresowanie larpami szybko nie zniknie. Dziękuję wszystkim serdecznie za włożony wysiłek, energię i pozytywną atmosferę.

Katarzyna „KarenRipp” Hryniewicz

WAKACJE SIĘ SKOŃCZYŁY. WAKACYJNY CZAS ROZGRYWEK MAGICA RÓWNIEŻ



Lipiec – zaczęło się na Mistrzostwach Polski w Warszawie. Bardzo udany wyjazd. Masa wspaniałych ludzi i 3 dni grania w Magic. Z lokalnej sceny trójmiejskiej do top 8 załapali się Tomek „Junior” Pędrakowski, Piotr Andrys i Michał „Migacz” Mrozek. Piotr Andrys został wicemistrzem Polski. Gratulacje dla całej trójki! Relację z poczynąń trójmiejskich graczy na mistrzostwach znajdziecie na blogu *Trójmiejskiej Sceny Mtg*: www.tsmtg.blogspot.com.

Już na początku lipca odbył się Pre-release nowego dodatku – M11. Okazje do zagrania były dwie – w sobotę (10 lipca) i w niedzielę (11 lipca). Łącznie w obu turniejach zagrało ponad 60 graczy, których to nie wystraszyły 35-stopniowe upały. Miałem przyjemność prowadzić i sędziować niedzielny turniej, na którym zagrało 25 graczy. Zwycięzcą tego turnieju okazał się Michał „Migacz” Mrozek; tuż za nim – po wspaniałym pojedynku ze mną – znalazł się Marcin "Stasiu" Staciwa.

Sierpień – dokładnie w dniu 8 sierpnia, odbył się w Gdańsku ogólnopolski turniej z serii PolTour. Dziesięć lat temu bardzo popularne były turnieje w formacie standard, gdzie gracze mogli zbierać punkty w ogólnej klasyfikacji, jeżdżąc po całym kraju, za co przysługiwały im nagrody od dystrybutora (od firmy Isa). Taki właśnie turniej zgromadził w Gdańsku 22 graczy (przybyli nawet gracze z Katowic). Po ciężkich bojach karcianych i piłkarskich (był stół z piłkarzykami, z którego korzystali gracze, żeby odreagować) do Top 8 trafiło kilku starych wyjadaczy, ale i paru nowych graczy, którzy odnajdują się na scenie Trójmiejskiej. Po pięciu rundach swissa rozegrane zostało top8. Do top4 przeszli gracze: Piotr Andrys, Zbigniew Wegner, Kamil Karczmarzyk i Robert Maślak. Panowie podzielili się nagrodami i na tym zakończyła się niedzielna przygoda z mtg w Gdańsku.



Jeszcze w sierpniu odbył się jubileuszowy, piąty SNM. Wszystko, co dobre, szybko się kończy. Ten turniej z serii SNM był "dobry" i niestety szybko się skończył. Dużo ludzi, dużo dobrych znajomych, dobra atmosfera i dużo dobrych *rozkmín* Magicowych. 28 sierpnia stawilo się 23 graczy z całego Trójmiasta, Lnisck oraz pojawil się gracz ze Słupska. Po rozegraniu 5 rund w formacie swiss zwycięzcą okazał się Zbyszek Wegner, tuż za nim Mateusz Lissowski, a trzecie miejsce zdobyłem ja, czwarty był Roman Kurek.

Wszelkie szczegóły dotyczące standingów i meta turniejów znajdziecie na wspomnianej już stronie internetowej: www.tsmtg.blogspot.com

Już 25 i 26 września odbędą się turnieje Pre-release dodatku *Scars Of Mirrodin*. Oba turnieje rozpoczną się o godzinie 10:00. Zapraszam wszystkich serdecznie w imieniu GKF i sklepu Futurex. Jednocześnie polecam tego typu turniej, żeby rozpocząć swoją przygodę z Magiciem!

Janusz „Stalkerowaty” Bułakowski



KOMUNIKATY REDAKCJI

Pierwszy odcinek relacji z 5. Wyprawy Solaris Travel „Tropem Draculi i Turków Osmańskich” zostanie przedstawiony we wrześniowym numerze Informatora. Tym razem autorką będzie Elwira Zawadzka z Warszawy. Zapewne wielu Czytelników ucieszy wieść, że Papier obiecał ograniczyć się tylko do przypisów. Znajac styl Elwiry sądzimy, że relacja z 5. Wyprawy będzie miała co najmniej 6 odcinków.

Kolejny odcinek „Subiektywnego przeglądu seriali SF” również zostanie zamieszczony w numerze wrześniowym. Tym razem zajmiemy się znanym i cenionym serialem „Farscape” (pol. „Ucieczka w kosmos”).

Jednocześnie przypominamy szanownym Czytelnikom, iż każdy z Was może przedstawić swój subiektywny pogląd na dowolny serial SF. Wszystko zostanie wydrukowane w Informatorze!

Prosimy o pamiętanie, że ta rubryka Informatora ma w tytule słowa „**serial SF**”. Nasza obietnica druku nie dotyczy seriali wampirowatych, wilkołakowatych i ogólnie horrorowatych.





TOPORIADA 2010

RAWSKIE STOWARZYSZENIE
MIŁOSNIKÓW GIER FABULARNYCH I FANTASTYKI TOPORY

konwent-wymiatator

- albo jak uczeć i wie wykorzystać ostatnie sześć dni urlopu

Pomijając sam fakt, że od długiego czasu planowałam ponownie skrobnąć coś niecoś do „Informatora GKF” (no w końcu jest się tą Kaczką, czy się nie jest) – to już po trzykroć obiecuję sobie relację z arcydoskonałego konwentu tworzonego przez Stowarzyszenie Topory. O ile pamiętam, w „Informatorze” jeszcze takowa się nie pojawiła – a szkoda, bo to (jak głosi tytuł) faktycznie twardy konwent wymiatator. Mówi się „do trzech razy sztuka” – i oto jest. Mija dobre kilka dni od powrotu z Fryszerki koło Inowłódza (blisko Spały, w okolicy Tomaszowa Mazowieckiego i Rawy), ja jeszcze nie całkiem ochłonełam i – jak to mówią Topory – nie „ogarnęłam się”; ale siadam, piszę – abyście i Wy, drodzy Czytelnicy „Informatora” poznali, choć w teorii, cytrynowkowo-chmielowy smak najlepszego w Polsce konwentu dla graczy.

Tytułem wstępu – nie będę pisać o historii czy detalach działalności Toporów, wszystko jest do znalezienia na ich stronie www.topory.org (tam polecam zwłaszcza trailery kolejnych edycji konwentu oraz fotorelacje). Powiem jako obserwator z zewnątrz: Topory to bardzo prężna i zwarta grupa zgranych ze sobą, dotartych ludzi. Zawsze zachwyca mnie idealny balans i proporcje, jakie potrafią zachować między luzem i swobodą, a niezbędnymi mimo wszystko rygiem i dyscypliną. Przede wszystkim jednak – Topory to ludzie, którym się chce. Brzmi banalnie; a jednak, jak by się zastanowić, nie jest to cecha często spotykana, także wśród fandomu – czyli osób, którym teoretycznie powinno zależeć na kooperacji i komunikacji w celu szerzenia fantastycznej zarazy. Toporom się chce. I to tak! A jak im wychodzi!



Nie istnieją ludzie niepopołniający błędów. Co mnie dodatkowo urzeka w Toporach – to ich znakomita autoregulacja. Spartolą coś (zdarza się przecież), to przemyśla / poprawia / wyjdzie świetnie. I tu wracamy do tematu przewodniego, czyli Toporiady 2010, mojej trzeciej. Znowu trochę historii. W 2008 konwent odbył się na terenie leśniczówki w Głuchowie, był nadal (nawet w porównaniu z poprzednimi ściśle klubowymi edycjami) imprezą kameralną, na mniej więcej sto osób. Nie był to konwent sensu stricto larpowy, jak np. Orkon; po prostu konwent dla graczy, ale pod lasem, wśród łąk z zbożem, chmar much i biegających luzem na wpół oswojonych dzikich. Prosta idea: skoro zamierzamy grać i integrować się, dlaczego męczyć się w dusznej szkole? I dlaczego podtrzymywać na siłę fikcję prohibicji? Konwent udał się świetnie, ustanawiając nowy standard. Wyróżniała go przyjazna dla nowych, serdeczna atmosfera, mocny nacisk na erpegowanie, 100% bez fejmusowania, 100% z piwem dla uprawnionych (ale za to bez mocniejszych napojów, aż do ogniska integracyjnego po oficjalnym zakończeniu konwentu). Przez Informator Konwentowy został wyróżniony jako drugi najlepszy (po Pyrkonie) konwent roku. Przy kolejnej edycji, w 2009 r., organizatorzy skoczyli na główkę i przenieśli lokalizację do Fryszerki, pod wysokie iglaste drzewa – z małego, niszowego konwentu robiąc duży, duży niszowy konwent. I trochę się rozsypano. Nadal było mniej więcej tak, jak być powinno, ale...

Ogromny teren oraz wydzielenie podobozów, rozsypanie namiotów do grania na dużej przestrzeni, oddzielenie ogniska od sklepiku i kegi z piwem – ludzie rozpełźli się, rozplynęli, atrakcje z poprzednich edycji nie wydawały się już tak zniewalająco atrakcyjne, tyle było prelekcji do wyboru, że na żadną się nie chciało ruszyć... Toporiada 2009 niepokojąco zaczęła przypominać inne, dobre konwenty. Była w porządku. A nie o to tu chodzi.



Jak już jednak wspomniałam, Topory nigdy nie spełniają dwa razy tych samych niedociągnięć. W tym roku udało im się wykreować najlepszą Toporiadę ever! Teren ten sam co przed rokiem, 12-14 sierpnia (można było zostać nieco dłużej – bo z Toporiady nie jest łatwo wyjechać), stanica we Fryszerce, 250 uczestników (nawiasem mówiąc, na konwent ten, podobnie jak na Nordcon, wchodzi się za zaproszeniem; i, o ile wiem, z powodów logistycznych organizatorzy nie przewidują radykalnego zwiększania liczby uczestników w przyszłości, chociaż nowa krew jest tu zawsze mile widziana). Tym razem jednak namioty do grania poustawiane jeden przy drugim – hej, ja naprawdę nie wiem, jak to opisać, ten dreszcz, gdy wieczorem, o wspólnej godzinie, rozpoczyna się kilkanaście sesji – gracze i MG jeszcze nieco chaotycznie i gorączkowo zwołują się / lampki i latarki / ktoś biegnie po ciepłe ciuchy / ktoś kogoś szuka... Zamieszanie, przygotowania, pewien zamęt, śmiechy. A za chwilę w tych kilkunastu namiotach wejdziemy w kilkanaście alternatywnych światów, zanurzymy się w opowieściach, zatopimy w emocjach, będziemy śmieszyć, tumanić i przestraszać... (Tu podziękowania dla Zawiszy za to, że pozwolił Smokowi tak bezczelnie mnie zabić na sesji Cthulhu; dziękuję serdecznie, teraz już nigdy nie będę w stanie bezstresowo korzystać z wc na stacjach benzynowych).

W tym roku zmodyfikowano także sklepik – był blisko i ogniska, i namiotów, i sanitariatów (z tym ostatnim to czasami nawet zdawało się, iż za blisko – ale nic to), w ścisłym centrum. W sklepiku kega. Gośćmi Toporiady 2010 byli Jacek Komuda (na rzecz Fryszerki zrezygnował z wypadającej w tym samym czasie największej XVII-stkowej imprezy historycznej na zamku w Gniewie), Michał Mochocki, Tomek Wolski i Artur Machlowski (Marcinowi Baryłce nie udało się dotrzeć). Poniechano mnożenia prelekcji, stawiając na nieprzesadną ich liczbę – z zachowaniem wszakże wielu jajejcznych konkursów, jak np. ten na wykonanie z niczego jakiegось przebrania (wygrał Dzik Pustynny projektu Thorstena, który nota bene jest elfem), Konkurs Pieśni Krasnoludzkiej, konkurs feministyczny, Monthy Pythonowy (modrzew – modrzew – modrzew!) czy rozmaite warianty kalamburów. LARP na 80 osób? Proszę bardzo – LARP w Dzikie Pola przygotowany przez M. Mochockiego i Tomka Smoka Wolskiego. Smakowite obiady dla wszystkich uczestników? Mama k8 i Xariona wyczarowała najpierw pyszny żurek, a kolejnego dnia jeszcze pyszniejszą grochóweczkę. Pokaz alchemiczny? Zaprzyjaźniona Armia Goblinów zaprezentowała alchemiczne sztuczki (a Diabeł wypił, czego nie powinien). Podobozy-larpy nieustające? Elfi (z roku na rok

coraz staranniej przygotowywany – za co zresztą dostał nagrodę główną w Wielkim Konkursie Obozowym), Chtulhu, Neuroshimowy, Piracki, Armii Goblinów i oczywiście Orczy Obóz (i piwo Totem-Potem Stronk Limited Edition, czyli kilkadziesiąt puszek oklejonych drukiem na folii – „Nigdy nie targam po alkoholu” i cały layout w orkowym stylu).

Stały punkt otwarcia konwentu – kabaret – był w tym roku dopracowany i jak zwykle wariacko śmieszny (covery z dookoła-Toporowymi słowami, dla wtajemniczonych rakieta, dla niewtajemniczonych śmieszne nawet bez kontekstu). A już tradycyjne zakończenie pod wiatą stołówkową stanicy.... łolołoj, był nie do przebicia (w przyszłym roku stoi przed nami prawdziwe wyzwanie – aż strach się bać!). Po podziękowaniach i rozdaniu nagród Złotych Toporów – w tym m.in. dla najlepszego MG, którym został Wojciech Rzadek, i dla najlepszego gracza, którym okazał się Andrzej Igua Morkisz – „Kantyczka z lotu ptaka” Kaczmarskiego wyśpiewana heavymetalowo przez kapelę ChaosUC. Potem już tylko tańce, tańce, tańce i pogo jak marzenie pod songi Kaczmarskiego w wykonaniu Kaczora (nawiasem mówiąc – da się pod Kaczmarskiego zatańczyć wszystko, od pogo przez walca i tango do tańców-przytulańców) oraz szanty zapodawane przez Wiosło w Dupie, czyli Groma z Kaczorem... Oj, było grubo, było grubo – stage diving, podrzucanie orgami pod belki stropowe, wspinięcie się na belki i tzw. taniec jedną ręką...



Toporiada stawia na granie. I to granie na bardzo wysokim poziomie. Stawia także na absolutne i całkowite odreagowanie czegokolwiek, co każdy tam musi odreagować. Stąd odreagowują tak młode, świeże sztuki, jak i fandomowe dziadki – i, uwierzcie, każdy daje z siebie, co może (przy czym zaryzykuję stwierdzenie, że dziadkom więcej się zdążyło nazbierać od odreagowywania). Tu nie trzeba się chować po kątach i zakamarkach szkoły, tu nie ma prohibicji – chociaż z konwentu wylecieć może każdy, bez problemu, jeśli źle skoreluje stosunek sił do zamiarów i na ten przykład zacznie bruździć innym uczestnikom (był ongiś taki przypadek: agresywny uczestnik został spakowany i wywieziony precz). Piwo z umiarkowaniem i dla pełnoletnich cały konwent – po oficjalnym zamknięciu cytrynówka (najlepsza cytrynówka tylko u Toporów!) oraz nalewki z piwniczek a to Hassana, a to Inkwizytora, a to już Goblithurą zwany, 48% produkt Armii Goblinów... Bywało grubo. Zawsze jednak jakoś tak fantastycznie, od orkowych brewerii i nieskromnych harców zaczynając, a na pijanych kalamburach na after-Toporiadzie u Smoka kończąc. Cytuując mojego małżonka, *Toporiada to nieustanny natłok wrażeń, których nie można podzielić na lepsze i gorsze; niemal tygodniowy przeplataniec hucznych biesiad z uczonymi dysputami, kontemplacji przyrody z kontemplacją cycków, humoru grubego a sprośnego z poezją śpiewaną; że już nie wspomnieć o sesjach gier, którymi Toporiada słynie...* Dodam, iż lokalizacja też nie przeszkadza – tuż niedaleko płynie wartka, niebezpieczna Pilica, w tym roku jeszcze szybsza i jeszcze cieplejsza

(z wiadomych przyczyn orgowie nie biorą odpowiedzialności za samowolne kąpiele w rzece, i z wiadomych przyczyn każdy łązi tam się moczyć kilka razy na dzień).

Mój małżonek trzeci raz z rzędu klnie się, że nie masz w Rzeczypospolitej lepszego konwentu – i że co rok powtarza to z większym przekonaniem. Zgadzam się. W ostatnich latach rekonstrukcje historyczne zajmują nas na tyle, że kalendarz konwentowy ograniczamy do dwóch-trzech imprez w roku. Toporiada jest pierwszą i najważniejszą z nich. Nie mogę bardziej zgodzić się z małżonkiem. To doskonały konwent.

I jeszcze raz najważniejsze: ludzie, którzy go robią. W tym roku głównym koordynatorem był Maciej Ślimak Winnicki (logistyka), a osobą odpowiedzialną za

program (i za cytrynowkę) prezes Stowarzyszenia – Hubert Jankos Jankowski. Wspomagało ich wiele Toporów, ale ja na łamach „Informatora” chciałabym szczególnie docenić Anię Anutkę Winnicką, która na długo przed oraz w trakcie konwentu wzięła na siebie cały ciężar prowadzenia opieki nad ciekawym światem, rezolutnym Ślimaczkiem, odciążając całkowicie męża.

relacja by Aleksandra Avril Mochocka



P.S. O mało co zapomniałabym o obozie szlacheckim. Tworzyli go przede wszystkim przedstawiciele Braci Herbowej Ziemi Rawskiej – a są to ludzie cisi i pokornego serca, nie aż tak się oczom i uszom narzucający, jak dla przykładu rozszalałe orki w tarle czy kultuści Cthulhu. Spieszę więc dodać, że szlachta rawska także wsparła program konwentu obecnością swą i swej armaty (w ich szeregach stanęło również kilkoro sarmatów z Pospolitego Ruszenia Szlachty Ziemi Krakowskiej).

wszystkie zdjęcia – autorstwa Dariusza Ludwickiego



ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

Wrzesień 2010 (uzupełnienie)

KRUCHA WIECZNOŚĆ (FRAGILE ETERNITY) – MELISSA MARR

Wydawca: Nasza Księgarnia. Data wydania: 15 września 2010

WILKOŁAK. CZARNY KSIĘŻYC (DARK MOON) – STEVE FEASEY

Wydawca: Nasza Księgarnia. Data wydania: 15 września 2010

SWIT (DAWN) – TIM LEBBON

Wydawca: Amber. Data wydania: 16 września 2010

KSIĘGA JESIENNYCH DEMONÓW – JAROSŁAW GRZĘDOWICZ

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 17 września 2010. Wznowienie

PRZEKRACZAJĄC GRANICE (ПЕРЕСЕКАЯ ГРАНИЦЫ) – OKSANA PANKIEJEWA

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 17 września 2010

PYŁ SNÓW: WYMARSZ (DUST OF DREAMS) – STEVEN ERIKSON

Wydawca: MAG. Data wydania: 17 września 2010

SPLĄTANE SIECI (TANGLED WEBS) – ANNE BISHOP

Wydawca: Initium. Data wydania: 17 września 2010

ŚMIERTELNY BÓG – MARCIN WELNICKI

Wydawca: superNOWA. Data wydania: 17 września 2010

CZAROPIS (SPELLWRIGHT) – BLAKE CHARLTON

Wydawca: Prószyński i S-ka. Data wydania: 21 września 2010

KIEDY NADCIAGA CIEMNOŚĆ (WHEN DARKNESS COMES) – ALEXANDRA IVY

Wydawca: Amber. Data wydania: 21 września 2010

KITTY I NOCNA GODZINA (KITTY AND THE MIDNIGHT HOUR) – CARRIE VAUGHN

Wydawca: Amber. Data wydania: 21 września 2010

LEGENDA (THE LEGEND) – DAVID GEMMELL

Wydawca: Mystery. Data wydania: 21 września 2010. Wznowienie

O POMIESZANIU GATUNKÓW. SCIENCE FICTION A POSTMODERNIZM – DOMINIKA ORAMUS

Wydawca: Trio. Data wydania: 21 września 2010

BITWA W LABIRYNCIE (THE BATTLE OF THE LABYRINTH) – RICK RIORDAN

Wydawca: Galeria Książki. Data wydania: 22 września 2010

DZIEDZICTWO (THE VAN ALLEN LEGACY) – MELISSA DE LA CRUZ

Wydawca: Jaguar. Data wydania: 22 września 2010

KĄŻDA MAGIA JEST DOBRA (EVERY WHICH WAY BUT DEAD) – KIM HARRISON

Wydawca: MAG. Data wydania: 22 września 2010

NIEPRZYJACIEL BOGA (ENEMY OF GOD) – BERNARD CORNWELL

Wydawca: Erica. Data wydania: 22 września 2010. Wznowienie

STUDNIA WIECZNOŚCI (THE SWEET FAR THING) – LIBBA BRAY

Wydawca: Wydawnictwo Dolnośląskie. Data wydania: 22 września 2010

CZARNOKSIĘŻNIK Z ARCHIPELAGU (A WIZARD OF EARTHSEA) – URSULA K. LE GUIN

Wydawca: Prószyński i S-ka. Data wydania: 23 września 2010. Wznowienie

NOCNE ŻYCIE (NIGHT LIFE) – NANCY A. COLLINS

Wydawca: Amber. Data wydania: 23 września 2010

NIEWOLNI (SLAVES OF THE MASTERY) – WILLIAM NICHOLSON

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 24 września 2010

PYŁ SNÓW: PUSTKOWIA (DUST OF DREAMS) – STEVEN ERIKSON

Wydawca: MAG. Data wydania: 24 września 2010

DÆMONOMANIA (DÆMONOMANIA) – JOHN CROWLEY

Wydawca: Solaris. Data wydania: 28 września 2010

DZIKA PRZESTRZEŃ (WILD SPACE) – KAREN MILLER

Wydawca: Amber. Data wydania: 28 września 2010

HOBBIT (THE HOBBIT) – JOHN R.R. TOLKIEN

Wydawca: Amber. Data wydania: 28 września 2010. Wznowienie

KAMIEŃ ROZSTANIA – TAD WILLIAMS

Wydawca: Rebis. Data wydania: 28 września 2010. Wznowienie

NORWESKI DZIENNIK. TOM 1: UCIECZKA – ANDRZEJ PILIPIUK

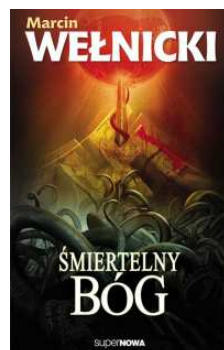
Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: wrzesień 2010. Wznowienie

POCĄŁUNEK ANIOŁA CIEMNOŚCI (DEVIL'S KISS) – SARWAT CHADDA

Wydawca: Nasza Księgarnia. Data wydania: wrzesień 2010

RÉNEGAT – MAGDALENA KOZAK

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: wrzesień 2010



REQUIEM DLA SAMOBÓJCZY – RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: wrzesień 2010

DZIECKO NA NIEBIE – JONATHAN CARROLL

Wydawca: Rebis. Data wydania: 21 wrzesień 2010. Wznowienie

KONIASZ. SAMOTNY WILK T.1 – MIROSLAV ŽAMBOCH

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: wrzesień 2010

WŁADCA PIERŚCIENI – J.R.R. TOLKIEN

Wydawca: Muza. Data wydania: wrzesień 2010. Wznowienie

Październik 2010 (wstępnie)**CZERWIE DIUNY (SANDWORMS OF DUNE) – BRIAN HERBERT, KEVIN J. ANDERSON**

Wydawca: Rebis. Data wydania: 3 października 2010

JA, DIABLICA – KATARZYNA BERENIKA MISZCZUK

Wydawca: W.A.B. Data wydania: 6 października 2010

KLUCZE DO REPOZYTORIUM (KEYS TO THE REPOSITORY) – MELISSA DE LA CRUZ

Wydawca: Jaguar. Data wydania: 6 października 2010

MARTWY JAK ZIMNY TRUP (DEAD AS A DOORNAIL) – CHARLAINE HARRIS

Wydawca: MAG. Data wydania: 6 października 2010

NEFILIM (THE FALLEN) – THOMAS E. SNEGOSKI

Wydawca: Jaguar. Data wydania: 6 października 2010

NIEPOSKROMIONA (UNTAMED) – P.C. CAST, KRISTIN CAST

Wydawca: Książnica. Data wydania: 6 października 2010

OKUP ZA ERAKA (ERAK'S RANSOM) – JOHN FLANAGAN

Wydawca: Jaguar. Data wydania: 6 października 2010

OSTATNIE KRÓLESTWO (LAST KINGDOM) – BERNARD CORNWELL

Wydawca: Erica. Data wydania: 6 października 2010

WILKEN. BRACIA KRWI (WOLVEN) – DI TOFT

Wydawca: Bukowy Las. Data wydania: 6 października 2010

UMIERAJĄCA ZIEMIA (DYING EARTH / THE EYES OF THE OVERLORD) – JACK VANCE

Wydawca: Solaris. Data wydania: 12 października 2010

MIASTO I MIASTO (THE CITY & THE CITY) – CHINA MIÉVILLE

Wydawca: Zysk i S-ka. Data wydania: 19 października 2010

FLOTA ŚWIATÓW (FLEET OF WORLDS) – LARRY NIVEN, EDWARD M. LERNER

Wydawca: Solaris. Data wydania: 20 października 2010

WIEDZMA Z WILZYŃSKIEJ DOLINY – ANNA BRZEZIŃSKA

Wydawca: RUNA. Data wydania: 20 październik 2010

MECHANICZNY ANIOŁ (CLOCKWORK ANGEL) – CASSANDRA CLARE

Wydawca: MAG. Data wydania: 20 października 2010

NORWESKI DZIENNIK. TOM 1: OBCE ŚCIEŻKI – ANDRZEJ PILIPIUK

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 25 październik 2010. Wznowienie

X3 – PAWEŁ SIEDLAR

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 25 październik 2010

GENESIS / OLŚNIENIE (GENESIS / BRAIN WAVE) – POUL ANDERSON

Wydawca: Solaris. Data wydania: 28 października 2010

MASZYNA RÓŻNICOWA (THE DIFFERENCE ENGINE) – WILLIAM GIBSON, BRUCE STERLING

Wydawca: MAG. Data wydania: 29 października 2010

KUZYNKI – ANDRZEJ PILIPIUK

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: październik 2010

ZEW KSIĘŻYCA (MOON CALLED) – PATRICIA BRIGGS

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: październik 2010

CIEŃ (SHADOWS) – AMY MEREDITH

Wydawca: Amber. Data wydania: październik 2010

MOHERFUCKER – EUGENIUSZ DĘBSKI

Wydawca: RUNA. Data wydania: październik 2010

NASTĘPCY (SMALL MIRACLES) – EDWARD M. LERNER

Wydawca: Prószyński i S-ka. Data wydania: październik 2010

PIĘKNI I MARTWI (DEAD BEAUTIFUL) – YVONNE WOON

Wydawca: Amber. Data wydania: październik 2010

PRZEDWIOŚNIE ŻYWYCH TRUPÓW – STEFAN ŻEROMSKI, KAMIL M. ŚMIAŁKOWSKI

Wydawca: RUNA. Data wydania: październik 2010





TEGOGOCZNI ZAJDLIŚCI

Podczas uroczystej gali kończącej Tricon 2010 w Cieszynie zostały ogłoszone wyniki głosowania na Nagrodę im. Janusza A. Zajdla za rok 2009. Laureatami zostali: w kategorii powieści – Anna Kańtoch (*Przedksiężycowi*, tom 1); w kategorii opowiadania – Robert M. Wegner (*Wszyscy jesteśmy Meekhańczykami*). Obojgu pisarzom gratulujemy!

wg: www.gildia.pl



ZWYCIĘSTWO GDAŃSZCZAN

Drużyna z Politechniki Gdańskiej zajęła w Holandii pierwsze miejsce podczas międzynarodowych zawodów łodzi napędzanych energią słoneczną. Dwuosobowa łódź, skonstruowana przez studentów i pracowników naukowych z Koła Naukowego Techniki Okrętowej „Korab”, przepłynęła 220 km w czasie 19 godzin, 25 minut i 8 sekund. W zawodach uczestniczyło pięćdziesiąt drużyn z całego świata. W przyszłym roku podobne regaty mają odbyć się na trasie Elbląg-Malbork i Elbląg-Gdańsk.

wg: www.emetro.pl

PATRON ZOBOWIĄZUJE!

Mieszczące się na Harvardzie Minor Planet Center – gromadzące dane m.in. o asteroidach – potwierdziło odkrycie planetoidy przez gimnazjalistów z Sierpca. Nowo odkryte ciało otrzymało oznaczenie 2010 MN2. Uczniowie Gimnazjum Miejskiego im. Mikołaja Kopernika w Sierpcu, pracujący pod opieką nauczyciela fizyki i astronomii, w odnieśli jednocześnie także inny sukces: młodzieżowemu zespołowi udało się zdjąć z listy „killerów” (czyli ciał niebieskich potencjalnie zagrażających Ziemi) asteroidę NEO 2010 MF1.

wg: www.onet.pl

PO RAZ KOLEJNY DOCENIONO ŚRODOWISKO KOMIKSOWE

Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego, odznaczył Szarlotę Paweł, Witolda Tkaczyka, Tomasza Kołodziejczaka i Wojciecha Jamę za zasługi dla kultury.

wg: *Aleja Komiksu*

ZNOWU CIUT WIĘCEJ MISJI

„Laboratorium” – jedyny już program telewizji publicznej poświęcony nauce, zdjęty decyzją władz TVP po 25 latach istnienia – wraca od września dzięki licznym protestom.

jpp

PREMIEROWE UTWORY KAFKI?

Rękopisy i rysunki Franza Kafki zostały, po procesie sądowym, wydobyte z depozytu szwajcarskiego banku. Wśród listów i dzienników prawdopodobnie znajdują się również utwory czysto literackie. Czy na miarę *Procesu*, *Zamku* lub *Przemiany* – dowiemy się najwcześniej za kilka miesięcy.

jpp



SYNTETYCZNY MIKROORGANIZM

Craigowi Venterowi, pionierowi rewolucji genetycznej, udało się wprowadzić syntetycznie zaprogramowane DNA do komórki mykoplazmy – przekształcając ją tym samym w nowy gatunek mikroba (i teraz każde jego białko powstaje według sztucznego zapisu).

jpp



ARESOŁODZY Z SIÓDMEJ KLASY

Grupa kalifornijskich uczniów, przeglądając podczas zajęć szkolnych zdjęcia wykonane przez satelitę NASA, odkryła nieznaną dotąd marsjańską jaskinię. Wypatrzony na powierzchni Czerwonej Planety otwór jest prawdopodobnie świetlikiem w sklepieniu jaskini.

wg: www.space.com

SOPOT FILM FESTIVAL 2010

Ten międzynarodowy przegląd kina offowego odbywał się w dniach 10-17 lipca. Wśród prezentowanych gatunków znalazły się m.in. film animowany oraz fantastyczny.

jpp

PŁA I KSIĘGA REKORDÓW GUINESSA

Wszystkie części tego horrorowego cyklu zarobiły już w sumie 733 mln dolarów; dla porównania: *Krzyk* – 507 mln, *Piątek 13-go* – 465 mln, *Koszmar z ulicy Wiązowej* – 447 mln, *Halloween* – 367 mln dolarów.

wg: www.emetro.pl

METEORYTY W STOLICY

W Muzeum Techniki do końca sierpnia można było obejrzeć największą w Polsce (licząc kilkaset okazów) wystawę meteorytów.

jpp

FONTANNA ASTRONOMICZNA

...przedstawiająca planety (ciekawe, czy także księżycy?) Układu Słonecznego powstaje w Tarnowie. Poszczególne granitowe kule odzwierciedlają proporcje co do wielkości – ale chyba nie co do odległości: kraniec fontanny wypadłby zapewne nie tylko poza granicami tego pięknego miasta, ale może wręcz Małopolski. Uruchomienie gotowego urządzenia zaplanowano na wrzesień.

jpp

PO WIELOLETNIEJ PRZERWIE – NOWA ODSŁONA KOMIKSU

Kolejny album przygód Funky'ego Kovala nosić będzie tytuł *Wrogie przejęcie*.

wg: www.gildia.pl

STRASZNE PONIEDZIAŁKI

W ramach tak zatytułowanego cyklu – telewizyjny kanał Ale kino! zaprezentował horrorową klasykę z lat 70. i 80. (*Egzorzysta*, *Teksańska masakra piłą mechaniczną*, *Piątek 13*, *Strefa mroku*).

wg: www.gildia.pl



„GOOD BYE – FOREVER”?

Czwarty film o przygodach zielonego ogra (tym razem w... alternatywnej rzeczywistości) trafił na polskie ekrany w pierwszej połowie lipca. Ma to być ponoć ostatnia odsłona cyklu; jednak na początek przyszłego roku zapowiadany jest film o Kocie w Butach.

jpp

NAZNACZONY NAGRODZONY

Ten polski serial został zauważony na festiwalu filmów telewizyjnych w Rzymie.

jpp

FNN – KONIEC LICYTACJI

W lipcu zakończyła się aukcja, w której można było wylicytować prawo do służenia za pierwowzór jednego z bohaterów w nowym, planowanym na listopad, tomie cyklu o Felixie, Necie i Nice. Zwycięzca wygrał kwotę 710 zł – co nie jest rekordem w tego typu licytacjach organizowanych przez Fandom Polski (w 2006 r., za podobne prawo do zaistnienia w powieści Pilipiuka, zapłacono 1.501 zł, a rok wcześniej inny fan wyłożył 2.362 zł – za rolę w powieści Sapkowskiego). Pozyskane pieniądze przeznaczone na fundusz Nagrody im. Janusza A. Zajdla.

wg: www.gildia.pl

FNN – POCZĄTEK ZDJĘĆ



W drugiej dekadzie lipca, w Poznaniu, rozpoczęły się zdjęcia do ekranizacji fantastycznego bestsellera *Felix, Net i Nika* oraz teoretycznie *możliwa katastrofa*. Będzie to pierwsza w Polsce tak spektakularna produkcja dla dzieci i młodzieży (liczba i zaawansowanie efektów specjalnych mają znacznie przewyższyć *Magiczne drzewo*). Kolejne plany zdjęciowe to kilka mniejszych miejscowości oraz Warszawa i Londyn. W rolach

głównych występują: Kamil Klier (Felix), Klaudia Łepkowska (Nika), Maciej Stolarczyk (Net). Scenariusz napisali: Rafał Kosik (autor powieści) i Wiktor Skrzynecki (reżyser filmu).

wg: www.gildia.pl

AMIMATOR 2010

Odbывający się w Poznaniu międzynarodowy festiwal filmów animowanych miał w dniach 12-17 lipca swoją trzecią edycję. Można było zobaczyć na nim polską premierę (po pokazie londyńskim) *Maski braci Quay* – wg minipowieści Lema, z muzyką Pendereckiego. Główną Nagrodę (Złotego Pegaza i 60 tys. zł.) otrzymał film Piotra Szczepanowicza *Ukryte*.

jpp

NÓW TO PRZY TYM PIKUŚ!



Księżyc, naturalny satelita Ziemi, kurczy się! To zaskakujące odkrycie ogłosili naukowcy z NASA. „Księżyc jest mniejszy niż był kiedyś i – co więcej – nadal będzie się kurczyć” - powiedział Tom Watters, jeden z naukowców, którzy dokonali tego odkrycia. Badania wykazały, że w ciągu ostatnich 800 milionów lat promień tego naturalnego satelity Ziemi zmniejszył się o około 100 metrów. Odkrycie to było możliwe dzięki analizie tysięcy zdjęć powierzchni Księżyca. Naukowcy szukali na niej śladów lodu, a znaleźli ślady kurczenia się Księżyca. Według badaczy, zmniejszył się on i zmniejsza się nadal na skutek spadku temperatury.

wg: www.onet.pl

SZALEŃSTWO W 3D

Guillermo del Toro (reżyseria) i James Cameron (produkcja) zajmą się realizacją filmu *W górach szaleństwa* – opartego na jednym z najsłynniejszych dzieł Lovecrafta. Zdjęcia mają ruszyć w lecie przyszłego roku.

wg: www.gildia.pl



STARSZY NASZ UKŁAD NIŻLI SIĘ PRZYPUSZCZA

Nowe szacunki, które są wynikiem pomiarów stosunkowej zawartości izotopów ołowiu w chondrycie (starożytnym dawnym meteorycie) sugerują, że Układ Słoneczny liczy sobie 4,568 miliarda lat; czyli o prawie dwa miliony więcej, niż sądzono dotychczas. Chociaż różnica z pozoru jest niewielka – wymaga zmiany dotychczasowego modelu powstawania Układu. „Oznacza to, że przed powstaniem Słońca doszło do wybuchu jednej lub nawet kilku supernowych, co tłumaczy obfitość różnorodnych pierwiastków” – mówi główna autorka odkrycia, Audrey Boviez z University of Arizona.

wg: www.odkrywcy.pl

GWIEZDNY REKORD

Jedna z ostatnio odkrytych gwiazd, nazwana R136a1, to największy obiekt tego typu, jaki kiedykolwiek został zaobserwowany na niebie. Masa odnalezionej gwiazdy jest blisko 265 razy większa od masy Słońca. Naukowcy przypuszczają jednak, że w początkowej fazie rozwoju gwiazda ta osiągała jeszcze większe rozmiary (nawet do 320 razy). Masa największych z olbrzymich gwiazd, które udało się zaobserwować w przeszłości, była najwyżej 150 razy większa od Słońca. Ostatnie odkrycie brytyjskich astronomów sprawiło, że uczeni bardzo poważnie zastanawiają się, jakie mogą być granice dla rozmiarów kosmicznych gigantów.

wg: www.onet.pl

PLASTELINOWA KAMPANIA

Wallace i Gromit, popularni bohaterowie animacji Nicka Parka, wystąpili w serii reklam npower – jednego z największych brytyjskich dostawców energii elektrycznej.

wg: www.gildia.pl



IMIONA DLA POLSKICH SATELIT

Trwa plebiscyt na nadanie imion dwóm polskim satelitom. Zwycięzca będzie patronem ten wystrzelonej wcześniej, laureat drugiego miejsca – tej późniejszej. Jak na razie prowadzą Lem i Heweliusz.

wg: www.nauka.gov.pl/na-skroty/ankieta-polski-satelita/

PIEKŁO BARKERA NADAL INSPIRUJE

Już we wrześniu rozpoczną się zdjęcia do kolejnej, dziewiątej już, odsłony serii *Hellraiser*; tym razem z podtytułem *Revelations (Objawienia)*. Reżyseruje Victor Garcia.

jpp



AUTORKI KOMIKSÓW Z WYBRZEŻA

Dodatek do „GW” – „Trójmiejski Sztorm Kulturalny” (nr 7/26 z 26.VIII.2010 r.) – zamieścił artykuł o kilku autorkach komiksów z Pomorza: Aleksandrze Spanowicz, Unce Odyi, Agnieszce Szczepaniak.

jpp

MAJOWIE POMYLILI SIĘ O 170 LAT?

Astronomowie odkryli, że asteroida oznaczona symbolem (101955) 1999 RQ36’ poważnie nam zagraża. Podczas pracy w ramach globalnego projektu mającego na celu przewidywanie toru lotów komet i asteroid oraz określenie prawdopodobieństwa ich kolizji z Ziemią – hiszpańscy naukowcy ustalili, że istnieje prawdopodobieństwo (jak jeden do tysiąca), iż dojdzie do czołowego zderzenia. Wyniki dalszych analiz i modelowania komputerowego ujawniły, że feralna data to 24 września 2182 roku.

wg: www.odkrywcy.pl

ZNÓW O AUTORSKIEJ WERSJI KLASYKI

26 sierpnia w BFI Southbank w Londynie odbyła się premiera odrestaurowanej pełnej, 153-minutowej wersji filmu Fritza Langa *Metropolis* – dzieła, które dało podwaliny pod całe XX-wieczne kino science-fiction. Przez ostatni rok w Niemczech trwały prace, finansowane przez Fundację im. F.W. Murnaua, nad restauracją znalezionej kopii. Film, po londyńskiej premierze, trafi w ograniczonym obiegu do kin w Wielkiej Brytanii i Irlandii – a następnie zostanie wydany na DVD i Blu-Ray.

wg: www.gildia.pl

BIBLIOTEKA VONNEGUTA

Biblioteka poświęcona temu pisarzowi zostanie otwarta jesienią w Indianapolis.

jpp

PIĄTY JUŻ NIEKODOWANY

Pod koniec wakacji komercyjna stacja TVN wyświetliła – planowany pierwotnie na kwiecień i odwołany z oczywistych powodów – film *Harry Potter i Zakon Feniksa*.

jpp



WAMPIURY KOMBATANTAMI?

Na październik bieżącego roku rzeszowski oddział IPN, we współpracy z Biblioteką Narodową oraz Wojciechem Jamą, przygotowuje otwartą wystawę pt. „Komiks w [PRL] w komiksie”. W części poświęconej undergroundowi pojawiają się fragmenty *Wampiurs Wars*.

red.

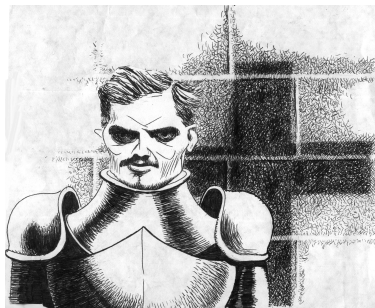
Okruchy Ogana

Korespondencja nr 12

Obrazki z Warszawy

Część tegorocznego urlopu spędziłem w stolicy, gdzie wraz z żoną pokazywaliśmy naszym pociechom wybrane zabytki – ale nie tylko – Warszawy. Ponieważ działo się to w połowie sierpnia, czekały na nas atrakcje związane z uroczystościami 90. rocznicy Bitwy Warszawskiej. Udało nam się obejrzeć rekonstrukcję przysięgi oddziału armii ochotniczej. Grupa rekonstruktorów przybyła do Warszawy specjalnym pociągiem i 14.08 rano przed bramą Uniwersytetu Warszawskiego odegrała scenę przysięgi i pożegnania ochotników wyruszających na front (jeszcze tego samego dnia tym samym pociągami udawali się do Wołomina). Rzecz wypadła całkiem udanie; zresztą wysoki poziom produkcji grup rekonstruktorskich jest dosyć powszechnie znany. Zadbano nie tylko o historyczną zgodność strojów i mundurów czy broni, ale także o pewien dramatyzm prezentowanej sceny (mdlejące narzeczone, lamentujące matki, procesja mieszkańców i błogosławiący żołnierzy księża, pojawiło się nawet dwóch rabinów). Niestety – czy to zbyt wczesna pora jak na sobotę, czy też kompletny brak zainteresowania warszawiaków takimi eventami sprawiły, że całe to przedstawienie oglądało mniej niż stu przechodniów. Świetnym komentarzem na temat frekwencji były słowa jakiegoś naprutego jegomościa, który akurat przechodził mimo i z wyrzutem gardłował, że w tym miejscu powinno być ze 2500 widzów, a nie taka garstka. Warszawiacy jednak w tamtych dniach zbierali się w innym miejscu Krakowskiego Przedmieścia i raczej w porach przedwieczornych – o czym w innym miejscu jeszcze wspomnę.

Najważniejszym punktem programu każdej wycieczki do Warszawy jest od paru lat Muzeum Powstania Warszawskiego. Udailiśmy się tam zaraz po wspomnianej rekonstrukcji



i jak się okazało – mieliśmy nosa. Kilkanaście minut później kolejka do kasy urosła dwukrotnie (ciągnęła się od jej budynku przez cały dziedziniec dawnej elektrowni tramwajowej i niemalże wychodziła za jej bramę). Przypominam, że była to sobota przed południem, a dodać należy, że w niedzielę wstęp do MPW jest za darmo. To chyba najbardziej oblegane muzeum w Polsce, na dodatek z biletami w cenie na każdą kieszeń. Jego sława nowoczesnej, arcyciekawie zakomponowanej, multimedialnej placówki w niczym nie jest przesadzona. Może jeszcze tylko dla moich córek nazbyt poważna, ale od teraz, ilekroć będę w Warszawie i znajdę te 3–4 godziny wolnego czasu, nie omieszkam tam wrócić, bo pierwsze zwiedzanie było co najwyżej – ze względu na dzieci – jedynie pobieżnym zapoznaniem się z bogactwem i różnorodnością ekspozycji. Teraz potrzebny jest czas na bardziej systematyczne jej studiowanie. Największe wrażenie zrobili na mnie opaski powstańców, których w muzeum zgromadzono kilkadziesiąt: każda z orzełkiem, literami WP i kolejnym numerem, który pozwala na zidentyfikowanie większości ich właścicieli (wśród nich ta z numerem 1, należąca do dowódcy powstania gen. Antoniego Chruściela – „Montera”). A dlaczego powinni tam chodzić także fani? Jeśli już nie z pobudek patriotycznych – to chociażby z powodu Papcia Chmiela, który swoim powstańczym doświadczeniom poświęcił jeden z albumów o Tytusie, Romku i A'tomku oraz pozostawił na murze muzeum swoje murale...

Wspominając pobyt w Warszawie w sierpniu 2010 roku, nie sposób nie napomknąć o sprawie smoleńskiego krzyża. Przechodziliśmy przez Krakowskie Przedmieście kilka razy dziennie. W godzinach przedpołudniowych, a nawet popołudniowych, naprzeciwko Pałacu było raczej

lużno, a frekwencję podnosiły ekipy telewizyjne, które na bieżąco przekazywały obraz sprzed siedziby Prezydenta RP. Zabawa rozpoczęła się dopiero późnym popołudniem, kiedy na miasto wychodziła warszawska młodzież. Obserwowanie zabaw przedstawicieli przyszłości narodu nie napawała mnie jednak optymizmem (poziom intelektualny ich żartów najlepiej ilustruje zbieranie podpisów pod petycją, aby zburzyć Pałac, bo zasłania krzyż – aż chciałoby się odpowiedzieć: zmieńcie okulistę, bo ten nie mówi wam całej prawdy).

Nie muszę ukrywać, że moja sympatia jest po stronie obrońców krzyża i choć uważam, że powinien on zostać przeniesiony do kościoła św. Anny (jednego z najpiękniejszych w stolicy), to przecież można i bez niego kontynuować czuwanie. Miałoby ono wówczas jeszcze większą wymowę niż teraz, kiedy nosi znamiona nie tyle fanatycznego, co bezrozumnego uporu. Z drugiej strony – kto widział ten krzyż na

żywo, na pewno musi się dziwić, że może on komuś przeszkadzać: wymiary ma raczej niewielkie, niczego nie zasłania i naprawdę nie pojmuję, co strzeliło do głowy Komorowskiemu, że zapowiedział w wywiadzie dla GW jego usunięcie sprzed Pałacu... Ale do *bon motów* tego prezydenta musimy się przyzwyczaić, bo ma on do nich wyraźną słabość (martwe dźwigi upadłej stoczni jako Statua Wolności – oto wymowny symbol tego, jak postrzega wolność pewna liberalna partia i co szykuje polskiej gospodarce).



Aneks do *Różyczki*

Film Kidawy-Błńskiego rozbudził moje zainteresowanie losami Pawła Jasienicy. Przyznaję, że wcześniej były mi one raczej obojętne, a z jego historyczną eseistyką w ogóle nie miałem kontaktu i lektura ta dopiero przede mną. W celu odrabiania zaległości na początek sięgnąłem po jego „Pamiętnik”.

To znakomita książka, wiele mówiąca o realiach życia Polaków od początków XX wieku aż do lat powojennych. Niestety, dzieło to nie zostało dokończzone, gdyż autor w trakcie jego spisywania zmarł. Pozostawił jednak sporo materiału wspomnieniowego, który – w zestawieniu z naszą wiedzą o roli jego drugiej żony – pozwala w pełni zrozumieć jego tragiczne położenie. Prawdziwie dramatycznie brzmi w tej perspektywie wyznanie autora: „Nie jestem panem szuflady własnego biurka”.

Kwestia cenzury czy infiltrowania środowisk niepodległościowych w PRL nie jest jednak najważniejsza w „Pamiętniku”. Można nawet powiedzieć, że jest zupełnie marginalna, bowiem wspomnienia Jasienicy ledwie wyszły poza lata powojenne. Trzeba jednak też przyznać, że rzeczywistość współczesna autorowi nieustannie jest konfrontowana z czasami II RP i to porównanie nie wypada najlepiej dla socjalistycznej Polski.

O sile oddziaływania tej książki na czytelnika stanowi wspaniały gawędziarski styl autora okraszany typowymi dla niego kresowymi archaizmami, które wydawca (Prószyński i S-ka) łaskawie pozostawił w tekście (żałuję, że nie zapisałem sobie chociaż jednego ich przykładu przed oddaniem książki do biblioteki). Dodatkowo Jasienica miał to szczęście (jako pamiętnikarz), że żył w ciekawych czasach i spotykał nie mniej interesujących ludzi (jak np. wileńskie środowisko komunistów, z których część poszło za Stalina do piachu, ale niektórzy stali się ważnymi postaciami w PRL – i kto wie, czy to nie oni ocalili głowę Beynara, kiedy ten wpadł w łapy UB). Z tym epizodem wiąże się też jedna z perfidniejszych szykan Gomułki wobec niego: rozpuszczanie plotek, że ceną za uwolnienie było pójście na współpracę z reżimem. Jeszcze na łożu śmierci odwiedzał Jasienicę Wańkowicz i dręczył pytaniami o rzekomą zdradę.

Wstęp i posłowie do książki napisał przyjaciel twórcy Władysław Bartoszewski. Jego komentarze i wspomnienia związane z ostatnimi dniami Jasienicy są dodatkową wartością książki. Czytając je, wciąż nie mogę uwierzyć, że został Bartoszewski pierwszym kawalerem polszewików...

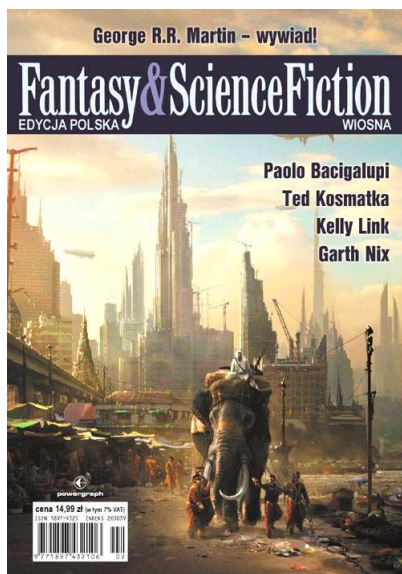
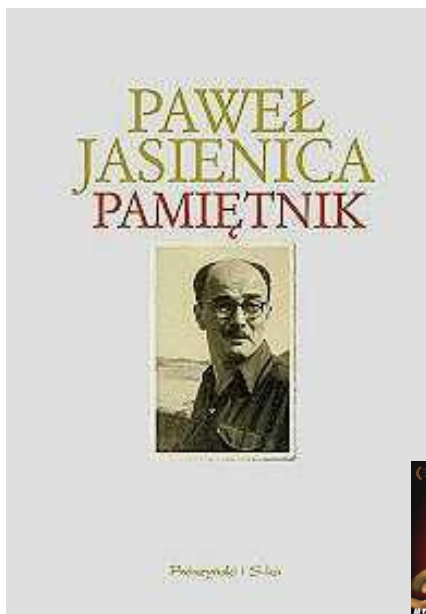
F&SF odsłona druga

Wyjeżdżając na urlop, zabrałem ze sobą drugi numer „F&SF. Edycja polska” z mocnym postanowieniem przeczytania go od deski do deski. Okazało się, że – wbrew moim przewidywaniom – nie było to zadanie nadmiernie przykre. Nawet dominująca wśród prozy sf, za którą osobiście nie przepadam, dawała się czytać. O dziwo, wśród najbliższych propozycji znalazł się tekst głównej gwiazdy tego numeru George’a R. Martina – „A w tunelach panował mrok”: to opowiadanie wtórne i nudne, i nawet w „Czerwonym Karle” z trudem znalazłoby sobie miejsce (czytając je, wspominałem sobie ramotliwe nowelki Charlesa R. Tannera o Tumitaku, zresztą o niebo lepsze od tekstu Martina). Najmniej interesujące było jednak opowiadanie Kelly Link „Światło” – ale czego innego można się spodziewać po tekście surrealistycznym. Pozostałe tytuły były nawet zajmujące. „Kaloryk” Bacigalupiego to w ogóle majstersztyk, już teraz jestem ciekaw powieści ze świata tego opowiadania (okładka numeru właśnie z niej pochodzi). Teda Kosmatki „Sztukę alchemii” czytałem z nostalgią, bo przypominały mi się szkolne lata w technikum, wykres żelazowęgla i lekcje z metalurgii (swoją drogą, co robi takie opowiadanie w piśmie sf, to ja za bardzo

nie wiem). Opowiadania fantasy Yoon Ha Lee oraz Garth Nix poczytuję redaktorom na plus, zwłaszcza nastrojowa miniaturka „W głębinach jeziora” Nix może urzec czytelnika.

W dziale publicystyki trwa krucjata o zrzućcie z siebie przez fantastykę jarzma gatunkowych naleciałości, czyli z grubsza o to, żeby fantastyka przestała być fantastyką, a zaczęła być szanowaną literaturą bezprzymiotnikową (niegatunkową). Jest to kolejna odsłona sporu: fantastyka problemowa czy rozrywkowa, tym razem toczona pod bardziej subtelными sztandarami. Wciąż nie rozumiem jej zasadności. Fantastyka pozbawiona swoich cech gatunkowych (być może zgranych i – jak chce Paweł Matuszek – przestarzałych) czym będzie? I czy naprawdę będzie lepszą literaturą niż obecnie? A nawet jeśli – to czy cena, którą będzie trzeba zapłacić za akceptację fantastyki przez salony literackie, nie będzie zbyt wysoka? Zamiast bezsensownie się tym niewrażliwym na uroki fantastyki salonom podlizywać, „plwajmy na tę skorupę i zejdźmy do głębi”. Ja bowiem uważam, że źródło prawdziwej literatury można odnaleźć jedynie na „przestarzałych mapach piekła” – czemu, być może, poświęcę kilka słów następną razą.

Wasz wielkokacki korespondent



OSTATNIA PUSZKA COCA-COLI

Autor: Cormac McCarthy

Tytuł: Droga

Tytuł oryginału: The Road

Liczba stron: 268

Rok wydania: 2008

ISBN: 978-83-08-04178-9

Wydawca: Wydawnictwo Literackie



Czemu dopiero teraz piszę recenzję książki, która ukazała się w Polsce dwa lata temu? Jeśli chcecie dowiedzieć się tego bez czytania wstępu przejdźcie od razu do siódmego akapitu. Wcześniej naprawdę nie mogłem, ale podziwiam tych, którzy dali radę.

Wstyd się przyznać, ale moja znajomość z twórczością McCarthy'ego rozpoczęła się dopiero wtedy, gdy film braci Coenów („To nie jest kraj dla starych ludzi”) dostał cztery Oscary. A jak już chyba powszechnie wiadomo, scenariusz tego filmu powstał właśnie na podstawie powieści Cormaca McCarthy'ego, noszącej taki sam tytuł.

Film był naprawdę niezły, a Tommy Lee Jones zagrał brawurowo, tak jak w nakręconym czternaście lat wcześniej „Ściganym”. Z tym że u Coenów zagrał jakby miał o czterdzieści lat więcej. Film braci mi się podobał – choć trudno powiedzieć, bym oglądał go z przyjemnością. Dostrzegałem w nim jednak pewne niejasności. Postanowiłem zatem sięgnąć do literackiego pierwowzoru. Oczywiście, kiedy tylko dowiedziałem się, że został wydany w Polsce. No i muszę przyznać, że się nie zawiodłem. Nie dość, że niejasności zostały wyjaśnione, to jeszcze poznałem autora, którego kolejną książkę chciałem kupić natychmiast.

„Drogę” dostałem w prezencie od żony. Kiedy zerknąłem na okładkę natychmiast zacząłem w stopce szukać nazwiska człowieka odpowiedzialnego za jej projekt, by go przekląć szpetnie. Niestety doczytałem się jedynie tego, że wykorzystano na niej fotografię z agencji Getty Images. Wymamrotałem więc jakieś nieprzyjemne słowa pod adresem agencji. Nie wiedząc, co jest w środku, trzeba być nieźle spragnionym literatury, by sięgnąć po książkę z tak brzydką okładką.

Lubię tę krótką chwilę, kiedy jeszcze nie zacząłem czytać, ale już wiem, że za chwilę zacznę. Staram się wtedy wyobrazić sobie, o czym może być książka, którą trzymam w dłoni. Patrząc na okładkę (tfu!) „Drogi” i analizując jej dość nieskomplikowany tytuł domniemywałem, że może to być literacka odmiana filmu drogi. Lubię książki tego typu i nie muszą to być powieści. Mając w pamięci to, że przed miesiącem skończyłem czytanie serii podobnych pozycji („W drodze” Kerouaca czytane po raz trzeci chyba, „Podróż przez Niemcy” Wolfganga Büschera i „American Vertigo. Podróż przez Amerykę śladami Tocqueville'a”, Bernarda-Henri Lévy'ego) obawiałem się, że przedawkuję. Machnąłem na obawy ręką i w niedzielny poranek wlażłem z książką do wanny pełnej ukropu. Lubię tak czytać.

Kiedy wychodziłem z wanny był środek nocy, woda była zimna, powieść przeczytana, a ja wstrząśnięty.

Zwykłe po lekturze dzielę się z żoną spostrzeżeniami. Tym razem nie chciałem rozmawiać z nikim i o niczym. Przez kilka dni. A jeśli chodzi o chęci, to miotąłem się między chęcią natychmiastowego i nieograniczonego w czasie tulenia syna, a chęcią pobiegnięcia sprintem do pobliskiego marketu w celu wykupienia tamże zapasów wody, konserw i świeczek. Oczywiście do marketu nie pobiegłem, ale synek nie mógł się nadziwić nagłemu przypływowi czułości u ojca. Oto, co literatura potrafi zrobić z człowiekiem!

Wiem, że zechęć jeszcze przeczytać tę książkę, ale jeszcze nie teraz. Może i jestem przesadnie wrażliwy – dwa lata to za mało by otrząsnąć się z emocji po przeczytaniu „Drogi”. Może całkiem inaczej odczytają tę książkę ludzie, którzy dzieci nie mają. Ja zaś, przez te emocje, wciąż nie jestem w stanie obiektywnie powiedzieć, czy powieść

McCarthy'ego jest wielką literaturą czy emocjonalnym szantażem. Jedno wiem na pewno – to jest bardzo dobra książka!

Czy jest to powieść drogi? Trudno powiedzieć. Jakby analizować ją naskórkowo, w warstwie fabularnej, to może i dałoby by się ją zmieścić w tej szufladce. Ojciec i syn przemierzają kraj – a właściwie to, co z niego pozostało – czasem oddalając się, a czasem wracając do drogi. A właściwie do tego, co z tej drogi zostało. I oczywiście mają „przygody”, których ja nie życzyłbym nawet swoim największym wrogom. A jestem przecież człowiekiem mściwym i pamiętliwym. Noo niby można sobie wmawiać, że przemarsz bohaterów z północy na południe tłumaczy żelazna logika. Powiadając za Stuhrem z „Seksmisji”: „Tam musi być jakaś cywilizacja.” Rzeczywiście musi? Przewracając kolejne strony nie da się uciec od wrażenia, że na południu nie będzie nic. Ani nigdzie indziej. Po co więc idą gdziekolwiek? A cóż innego można robić z ośmio- czy dziesięcioletnim chyba chłopcem, który nie zna właściwie świata innego niż ten, przed którym chroni go ojciec przez 266 stron powieści.

Wydaje się, że to nie marsz tych dwóch jest ważny – ale to, co dzieje się między nimi i w nich samych. Jest to na tyle ważne, że do końca powieści nie dowiadujemy się, jakie imiona noszą bohaterowie, ile mają lat, skąd pochodzą. Spośród ludzi pojawiających się na kartach książki tylko jedna osoba nazwana jest z imienia. Również miejsca nie noszą nazw. One naprawdę są nieistotne. Czas też już nie jest istotny: „żadnych list spraw do załatwienia. Dzień opatrnością sam dla siebie. Godzina. Nie ma żadnego później. Później jest teraz.”

Czytając książkę – w pierwszej chwili chce się ją zaszufladkować jako powieść fantastyczną, a może nawet fantastycznonaukową. Mamy w niej przecież obraz zachodniej części USA po nienazwanym kataklizmie, którego opis („Zegary stanęły o 1.17. Długie nożyce światła, a potem seria wstrząsów.”) nachalnie wciskają w mózg sformułowania „wojna atomowa”, „nuklearny holokaust”, „apokalipsa masowego rażenia”. Jednak poetyka powieści powstrzymuje przed tak jednoznaczną jej kwalifikacją, a czytelnik dość szybko orientuje się, że warstwę „science”, właściwie nie ma, bo autora nic nie obchodzi przyczyny katastrofy i nie zamierza ich naukowy czy nienaukowo wyjaśniać. A warstwa „fiction” jest dla McCarthy'ego tylko sztafażem. A jeśli się zna inne powieści tego autora można się zorientować, że sztafaż się w nich zmienia – lecz pytania, do których stawiania zmusza czytelnika, pozostają podobnie poważne. W „Drodze” rolę mijanego pejzażu pełnią zniszczone lasy, wyludnione miasteczka, stopiony asfalt dróg. W innej powieści, niedawno również wydanej w Polsce („Krwawy południk”) tłem są pustkowia i miasteczka dziewiętnastowiecznego pogranicza amerykańsko-meksykańskiego. Wszystko to tylko tło.

Może więc „Droga” jest horrorem? Horrorem dziejącym się w postapokaliptycznych czasach? Taką literacką odmianą „Teksańskiej masakry piłą mechaniczną”? Może i tak, bo przecież bałem się przez spór jej część. Bo przecież użyte są horrorowe atrybuty, z których najbardziej wyraziści są kanibale. Bo przecież pojawiają się sceny jakby żywcem wyjęte z konwencji. Ale czy to wystarczy, by powieść nazwać horrorem? Ja mam wątpliwości, bo mimo całej okropności ani banda kanibali jakoś mnie nie przestraszyła, ani scena z ludźmi trzymanymi w piwnicy w celu poćwiartowania i skonsumowania. To czego właściwie się bałem czytając tę książkę? Jasna sprawa, że kibicowałem fizycznemu przetrwaniu pary wędrowców, lecz tak naprawdę to bałem się by wszechogarniająca beznadzieja nie zmieniła ich umysłów/dusz (niepotrzebne skreślić) na wzór i podobieństwo otaczającego świata i istot. Przez całą powieść bałem się, że przestaną być ludźmi, bo przecież nie mieli już żadnego racjonalnego powodu, by nimi być. Cienka skórka kultury rozdarła się i wszystko może powrócić do stanu natury. Z tym jednak zastrzeżeniem, że z natury to już zostały głównie istoty dawniej nazywane ludźmi, bo przecież: „Kiedyś w górskich potokach żyły pstrągi źródlane. Widać je było, jak stoją w bursztynowym nurcie, a białe krańce płetw drgają delikatnie w płynącej wodzie. W rękę pachniały mchem. Wypolerowane, muskularne, torsyjne. Na grzbietach miały ślimacznicowate desenie, które były mapami nastającego świata. Mapami i labiryntami. Tego, czego nie można odtworzyć. Czego nie można naprawić. W głębokich dolinach, gdzie żyły, wszelka rzecz była starsza od człowieka i tchnęła tajemnicą.”

Przez cały czas lektury miałem niejasne wrażenie, że pod warstwą powieściową „Drogi” kryje się coś ważniejszego, że cała ta relacja jest formą przypowieści. Chłopiec, którego czystość i dziecięcą naiwność stara się za wszelką cenę chronić ojciec. Ojciec, który stara się, najlepiej jak umie, przygotować chłopca do dalszej, samodzielnej wędrówki. I mimo, że pojawiają się w tym przygotowaniu elementy survivalowe, to przecież nie one zdają się być najważniejsze. Ważne jest, by chłopiec pozostał dobry, by „niósł ogień”. Przypowieściowość wyraźnie daje znać w scenie spotkania ze starcem, jedyną osobą posiadającą imię. I to nie tylko dlatego, że Ely, z którym chłopiec dzieli się wbrew woli ojca tak przecież deficytowym jedzeniem, wspomina o Bogu. Ely mówi, że nie ujawni swego imienia, bo przecież to, które podał nie jest prawdziwe, by wędrowcy nie zrobili z niego złego użytku. Ely powiada też, że jest nikim i że znajdzie drogę. Sam chłopiec z dziecięcą szczerością, bez ukrytych intencji, zadziwiając często zadaje ojcu trudne pytania, na które odpowiadać musi jednak czytelnik. Ale tego, czy faktycznie „Droga” ma charakter przypowieściowy też zupełnie pewny nie jestem.

Wychodzi więc na to, że „Droga” jest literaturą głównonurtową, w której autor posłużył się kalkami i schematami z różnych gatunków. I, moim zdaniem, zrobił to po mistrzowsku. Nie sposób przy tym pominąć warstwy językowej powieści. Bez tego książka McCarthy’ego nie miałaby tak wielkiej siły oddziaływania. W pierwszej chwili sposób pisania szokuje czytelnika, który po trzech stronach zaczyna rozumieć, że nie można było tego napisać inaczej.

Dialogi nie są w żaden sposób sygnalizowane, choć przecież się pojawiają. Język, jakim posługują się postaci (a mówią przede wszystkim główni bohaterowie), jest prosty i surowy. W swoim świecie nie potrzebują innego. Przeszkadza to trochę, a nawet męczy. Równoważniki zdań i pólśłówka. Bardziej komunikaty i komendy niż rozmowa. Czasem pojawi się dłuższy dialog lub monolog, tak długi jak to właśnie zdanie. Nie ma tu rozmów o sztuce, literaturze, reklamach, zakupach, podatkach i polityce. A wszystko to, czym szczyłała się ludzkość w świecie nie znanym już chłopcu, zostało ucieleśnione w wygrzebanej z zardzewiałego automatu puszcze coca-coli.

„Wyciągnął rękę i spojrzał na puszkę coc-coli.

Co to jest tatusiu?

Poczęstunek. Dla ciebie.

Ale co to jest?

Masz. Siadaj. [...]

Chłopiec wziął puszkę. Pieni się, powiedział.

No pij.

Spojrzał na ojca, przystawił puszkę do ust i łyknął. Namyślał się chwilę. Dobre, rzekł.

Tak, dobre.

Masz trochę, tatusiu.

Chcę, żebyś ty to wypił.

Chociaż trochę.

Mężczyzna wziął puszkę, spróbował i oddał ją chłopcu. Ty wypij, powiedział.

Posiedzimy tutaj.

To dlatego, że już nigdy więcej drugiej takiej nie wypiję?

Nigdy to bardzo długo.

Dobrze, powiedział chłopiec.”

Nie sądzę, by zbyt wielu siedemdziesięcioczworoletków lub autorów w ogóle – bez tworzenia głęboko zarysowanych postaci, bez barwnych opisów przyrody, bez skrzących się humorem dialogów, bez rozważań filozoficznych – napisałoby powieść, która faktycznie zasłużyłaby na Pulitzera. A McCarthy napisał.

Ogromne zainteresowanie książką po przyznaniu jej nagrody sprawiło, że i branża filmowa postanowiła sięgnąć po „Drogę”. Któregoś dnia kolega przyniósł mi płytę z filmem. Do dziś jednak nie obejrzałem go i chyba już nie obejrzę. Dlatego, że:

- nie lubię oglądać filmów z pirackich kopii;
- nie wierzę, by film mógł być lepszy od książki;

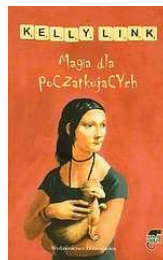
- obawiam się, że po obejrzeniu mógłbym przez kilka dni być w nastroju nieprzysiadalnym i żona by się znów martwiła. A mało to ona ma zmartwień ze mną i bez tego?

Ale za to – po każdej kolejną powieść Cormaca McCarthy'ego sięgnę z ochotą. Czego i Wam życzę.

Krzysztof Szkurlatowski
hisks@wp.pl

MAGIA I MŁODOŚĆ

“Magia dla początkujących”, Kelly Link



Kiedy skończyłem czytać ten zbiorek opowiadań – przyznałem mu w myślach pewną subiektywną ocenę. Niską. Ale teraz, kiedy zabrałem się za spisanie tego, co o wydanych w Polsce tekstach Link myślę – swoją opinię zmieniłem znacząco. Bo z prozą Kelly Link chyba jest tak, że trzeba trochę czasu na jej przetrwanie; czasu, by uświadomić sobie, o czym ona tak naprawdę pisze – czasu, by wsiąknęła w świadomość...

Magia dla początkujących to tak naprawdę drugi zbiór opowiadań Kelly Link, po niewydanym w Polsce **Stranger Things Happen**. I równie dobry, choć jednocześnie trochę inny. Link wciąż posługuje się tą samą stylistyką, jest równie oszczędna w słowach – każąc się więcej domyślać lub *dowyobrażać*, niż podając czytelnikowi wprost, ale pozostające wrażenie jest równie silne.

W **Stranger Things Happen** sporo tekstów bazowało na mniej lub bardziej u nas znanych klasycznych baśniach i bajkach, a w **Magii dla początkujących** (zbiorku) autorka od tego odchodzi, choć całkowicie też nie porzuca. Jeśli chciała udowodnić, że potrafi zrobić krok naprzód, to wyszło jej to bardzo dobrze i doskonale wróży na przyszłość. Podobnie jednak, jak w poprzednim tomiku opowiadań, elementy nadnaturalne są tylko narzędziem do tego, by w pewien alegoryczny sposób opowiedzieć o codziennych problemach. Bez fantastyki można byłoby o nich powiedzieć coś równie sprawnie, ale... ale to nie byłoby już to samo. Doskonały przykład realizmu magicznego.

To, co w prozie Link uderza – to wykorzystanie młodych bohaterów. Większość wykreowanych przez nią postaci, to dzieci lub młodzież, jak gdyby tylko przez nich dało się opisać świat wykorzystując nadnaturalność. A przecież Link pisze także o tym, co dotyka dorosłych.

Nie wiem, czy w **Magii dla początkujących** są słabe teksty. Na pewno dla mnie bardzo problematyczna – z powodu swej surrealistycznej formy – była **Armata**. Jedyny tekst, która całkowicie do mnie nie trafił i którego nic a nic nie zrozumiałem. Pocieszam się za to tym, że przeczytałem takie perełki jak opowiadanie tytułowe, o szaleńczym, fanowskim uwielbieniu serialu telewizyjnego, ale też o rodzinnych kłopotach i pierwszych miłościach (jak ona to wszystko tam zmieściła...), albo **Magiczna torebka**, cudownie przywracająca dzieciństwo¹, czy chociażby zaskakujące studium szaleństwa, czyli **Plany awaryjne na wypadek ataku zombie**.

Jednego można być pewnym: to dziwna proza, która nie każdemu przypadnie do gustu, ale może po pewnym czasie coś się przypomni, coś “zaskoczy” i koniec końców ten, kto po Kelly Link sięgnie, nie będzie żałował.

Maciej Majewski
/www.maciejmajewski.pl/

¹ miałem od razu skojarzenie z dwoma świetnymi tekstami o cudownych latach dzieciństwa – **Tramwaj** Bradbury'ego i **A Night in the Tropics** Jeffreya Forda.

PÓŁKA Z DVD

Ci, których nigdy nie było



Co zrobisz, jeśli odkryjesz (jak u Dicka), że jesteś robotem/obcym/atrapą? A co – dla odmiany – będziesz czuł, gdy dowiesz się, że życie, jakie doskonale pamiętasz, jest fikcją i nikt nie potwierdza twojej tożsamości? Albo jeśli nikt nie pamięta osoby, którą kochasz? Co wtedy? Prawdopodobnie pomyślisz, że albo cały świat zwariował, albo ty sam. I mimo że druga możliwość jest bardziej wiarygodna, będziesz miał nadzieję, że jesteś tą jedyną osobą, która wie lepiej, wbrew wszystkim pozostałym. Co zaś w tym wszystkim najciekawsze – możesz mimo wszystko mieć rację.

Thomas Veil, fotograf tropiący sensacje na całym świecie, otwiera swój wernisaż, którego główną atrakcją jest zdjęcie „Hidden Agenda” (obok), przedstawiające egzekucję dokonaną w Chile przez osobników w mundurach armii USA. Kiedy później wychodzi na papierosa, po powrocie odkrywa, że jego dotychczasowe życie przestało istnieć: żona i matka nie poznają go, jego dane osobowe zniknęły, a feralne zdjęcie przepadło bez śladu.



Mowa tu o serialu *Nowhere Man*, wyświetlanym w polskiej telewizji w latach dziewięćdziesiątych jako *Człowiek, którego nie ma* (Polsat); a później, już w obecnym stuleciu, pod nazwą *Bez przeszłości* (AXN). Od 2005 r. stoi on na amerykańskiej półce z DVD – i czas już najwyższy, żeby znalazł się na naszej, gdyż na całym świecie cieszy się zasłużoną sławą serialu kultowego. Licząc zaledwie 25 odcinków, nieustannie trzymając widza w napięciu, a stopień skomplikowania fabuły jest niepomniernie większy od tego, za który niedawno chwaliłem – porównywalnej długości – pierwszy sezon serialu *Fringe*. I to wszystko opiera się w zasadzie na jednej, nienormalnie obciążonej roli naszego fotografa (Bruce Greenwood), zmagającego się desperacko z sytuacją niemożliwą do ogarnięcia umysłem; przy czym dokonania zarówno aktora, jak i jego postaci są godne najwyższego uznania.

Nie wszyscy zapomnieli o Tomie Veilu – pozostali tajemniczy Oni, którzy chcą odzyskać negatywy zdjęcia „Hidden Agenda”. Z odcinka na odcinek wyłania się coraz wyraźniej obraz potężnej, niemal wszechmocnej Organizacji, której podpadł nasz bohater. W wyniku jej działań trafia do więzień, szpitali psychiatrycznych i innych niemiłych i podejrzanych placówek, z trudem ratując życie, wolność i zdrowy rozsądek. Spotyka sprzymierzeńców (także z tropiącej go Organizacji), a nawet sobie podobnych ludzi, którzy stracili swoją przeszłość. Z odcinka na odcinek mnożone są fałszywe tropy: żona i matka znów przyznają się do niego, twierdząc, że były dotąd zastraszane, a potem ponownie go „zapominają”. Nie ma mowy, żeby odgadnąć przed czasem, jaka jest prawda – jeśli chodzi o mnie, udało mi się to dopiero w połowie ostatniego odcinka, tylko trochę wcześniej niż głównemu bohaterowi.

W porównaniu z tym majstersztykiem znacznie mniej efektownie wypada obraz kinowy *The Forgotten*, wyświetlany w Polsce pod tytułem *Życie, którego nie było*. Jest to jednak, obiektywnie rzecz biorąc, całkiem dobry film, tyle że zgodnie ze swą nazwą po trosze zapomniany. Niezbyt wysoka średnia ocena wynika moim zdaniem z pewnej dziwaczności – mamy tu mianowicie UFO, ale przedstawione w sposób inny niż głosi ufologia (za to całkowicie zgodnie z kanonem science fiction). Można też oczywiście twierdzić, że ten rodzaj intrygi nie wymaga oprawy rodem z SF (vide nasz serial).

Telly Paretta (w tej roli doskonała jak zawsze Julianne Moore) nie może pogodzić się ze śmiercią synka w katastrofie samolotowej. Jej mąż pospołu z psychiatrą (Gary Sinise) usiłują ją jednak przekonać, że nigdy nie miała dziecka. Tymczasem stopniowo znikają wszystkie pamiątki po Samie – zabawki, zdjęcia, filmy. Zdesperowana Telly odszukuje Asha Corrella, którego pamięta z placu zabaw – ojca koleżanki Sama. On też nie pamięta, by kiedykolwiek miał córkę, nie pamięta też Telly, a jego mieszkanie wygląda inaczej, niż utrwaliło się to w jej pamięci. Jednakże pod tapetą są dziecięce rysunki, a ponieważż Telly idzie jak burza – Ash zaczyna sobie jakby coś niejasno przypominać. Jakby.

Fabularne podobieństwo obu obrazów jest wyraźnie widoczne, mimo wszystkich różnic. Tam chodziło o własne życie, tu o życie dziecka. Tam była Organizacja, tutaj bezduszni Obcy. Tylko problem pozostał ten sam: kto ma rację – ja, czy reszta świata? Co interesujące: dostajemy dwie różne odpowiedzi. Ale jaką w przypadku którego filmu – rzecz jasna nie wyjawię.

Andrzej Prószyński

Człowiek, którego nie ma / Bez przeszłości

(Nowhere Man), serial TV, 1995-1996

Ocena FilmWeb: rewelacyjny (8,64/10), IMDb: 8,7/10

Twórca serialu: Lawrence Hertzog

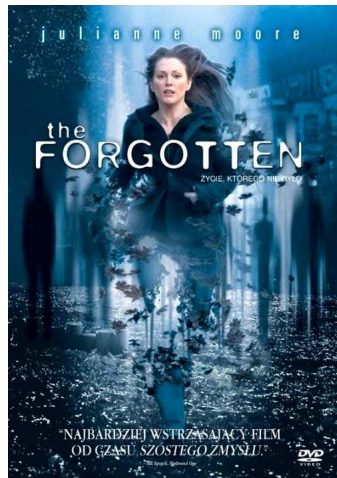
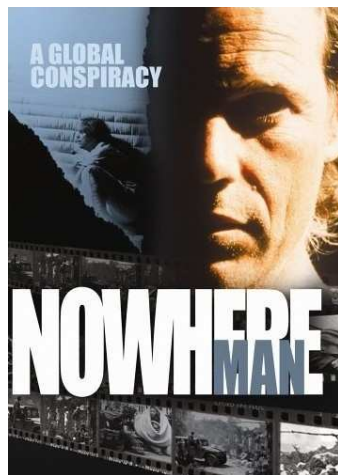
Reżyseria: Tobe Hooper, Reza Badiyi i in.

Scenariusz: Joel Surnow, Peter Dunne, David Ehrman

25 odcinków po ok. 40-50 min.

Obsada: Bruce Greenwood (Thomas Veil), Trevor Goddard (Mackie), Megan Gallagher (Alyson Veil)

Polska strona internetowa: <http://www.bezprzeszlosci.xt.pl>



Życie, którego nie było (The Forgotten), 2004

Ocena FilmWeb: Niezły (6,3/10), IMDb: 5,8/10

Reżyseria: Joseph Ruben

Scenariusz: Gerald Di Pego

91 minut

Obsada: Julianne Moore (Telly Paretta), Anthony Edwards (Jim Paretta), Christopher Kovalski (Sam), Gary Sinise (dr Jack Munce), Dominic West (Ash Correll)



W KRAINIE MORFEUSZA: SEN SZPIEGOWSKI

Tytuł: Inception

Produkcja: USA, 2010

Gatunek: Fantastyczno-naukowy

Dyrekcja: Christopher Nolan

Za udział wzięli: Leo DiCaprio i obsada *Batmana*

O co chodzi: Eka kombinatorów kładzie ludziom głupoty do głowy

Jakie to jest: Nieco spóźniona recka *Inception* – a szkoda, bo to film niezłej klasy. No, ale lepiej późno niż wcale napisać parę słów.

Christopher Nolan raczej nie zawodzi. Mimo że balansuje mocno na krawędzi wielkiego hollywoodztwa i oryginalnego stylu ze swoich czasów niezależnych – jeszcze nie dał powodu do doła. *Incepcja*, każdy przyzna, zapowiadała się rewelacyjnie. Ach, jak człowiek snobistycznie czekał na moment, kiedy będzie chłonał dickowskie zawijasy w kinie, podczas gdy karkowski plebs dookoła będzie fukał nie kumając ni w ząb fabuły. A czy faktycznie takich doznań doznałem – o tym poniżej.

Koncepcja *Incepcji* jest tak prosta, że aż dziw bierze, skąd ten nimb tajemnicy podczas promocji: ekipa osobników działających nie tyle poza granicami prawa, co poza granicami cywilizacji, trudni się włożeniem ludziom do głowy podczas snu i wykradaniem infa (ekstrakcja). Całość odbywa się za pomocą niesprecyzowanej bliżej (na szczęście!) technologii pozwalającej na współdzielenie snów przez parę osób.

Tak, wiemy: *Matrix* odgrzany raz jeszcze. Odgrzany do tego stopnia, że Nolan nie bawi się w łopatologiczne wyjaśnianie idei, bo dzięki *Matrixowi* nawet przeciętny głab z grubsza załapie, o co chodzi. Odgrzany też do tego stopnia, że dla naszych bohaterów jest całkiem naturalne, że na przygodę do snu ruszają obwieszeni gunami; szkoda, że jeszcze karatowania nie trenują. Dla mnie osobiście (ale też pewnie dla wielu innych nerdów) sny pełne pościgów i strzelanin są normą (aczkolwiek np. często gun nie strzela, a oddział nie słucha rozkazów – ale to temat na inną rozprawkę); jednak nie wiem, czy przeciętny widz zidentyfikuje się z tego typu marzeniami sennymi. No i *Matrix* kłania się również z powodu zjawiska spowolnienia czasu we śnie i braku grawitacji – tu już nawiązania wizualne są mocne.

Alte to wszystko nie szkodzi – *Incepcja* jest na tyle autorskim filmem, że poza najbardziej oczywistymi skojarzeniami odstaje ze wszechmiar od dzieła Wachowskich i idzie własnym torem. Cały ten deal z ekstrakcją jest oczywiście tylko wstępem, bo tematem filmu jest motyw znacznie ciekawszy: odwrotność ekstrakcji, czyli tytułowa incepcja.

Genialny jest motyw znany z kina szpiegowskiego (zwłaszcza z *Alias*a, ale i np. *Bondów*) kolesia typu „siedzę sobie w jakieś norze trzeciego świata, ale jestem super specjalistą od unikalnej technologii; hej – nawet mam jej trochę w piwnicy”. No i cały

motyw zbierania ekipy przypomina wszelakie kino szpiegowsko-rabunkowe. Postacie poparte są świetną obsadą – gadajcie, co chcecie, ale Leo daje radę i jego ryj podstarzałego chłopczyka mocno pasuje do niekonwencjonalnych bohaterów (na marginesie – nie spoilerując: trudno nie zauważyć dużego podobieństwa tej jego roli do *Shutter Island*). Nolan jak zwykle wykopał zapomnianego dziadka – tym razem Toma Berengera, który zagrał tak brawurowo, że aż go nie poznałem. Również dyżurny Cillian Murphy dostał mocno nietypową dla siebie rolę, którą poprowadził rewelacyjnie – zwłaszcza że, mimo iż drugoplanowa, jego postać była tak naprawdę kluczowa w całej akcji.

W *Incepcji*, niezależnie od tego, czy jesteśmy akurat we śnie czy nie, Nolan funduje nam typowo „senny montaż”, kojarzący się zresztą nieco z *Memento*: narracja skacze od waypointu do waypointu, ukazując tylko kluczowe momenty i pomijając wszelkie przejścia pomiędzy kluczowymi sytuacjami/akcentami. Wiadomo przecież, że we śnie nie przeżywamy 3-godzinnej podróży samochodem, tylko wsiadamy, a potem zaraz już jest akcja w miejscu docelowym. Cały film, co się tu dziwić, jest najwyraźniej mocno inspirowany snami i taki też styl przejawia – od zjawisk takich jak wspomniany upływ czasu, przez motyw spadania, po inne smaczki znane tym, którzy śpią. Z tym że mamy tu fajne połączenie mocy, jaką ci daje „możliwość zrobienia czegokolwiek” we śnie – z pełną świadomością śniącej osoby; krótko mówiąc: można odstawiać takie wianki, że Neo mógłby co najwyżej iść turlać pyzy.

Przy tej okazji nie da się nie zauważyć podobieństwa również do *Dark City* i tuningowania tamtejszej rzeczywistości – scena „zakręcającej ulicy” jako żywo kojarzy się z rosnącymi budynkami w filmie *Proyasa*. Nie zapominajmy też, że w obu filmach sen jest kluczową sprawą – na tym jednak podobieństwa się właściwie kończą i przesadnej „inspiracji” nie ma się co dopatrywać.

No, i w tychże realiach nasza grupa odstawia swój incepcyjny skok. Należy się respekt, że Nolan dość sprawnie poskładał jego przebieg z kilku równoległych wątków, tak że dostajemy coś w stylu *Mission Impossible Plus*. Akcja – w której przeplatają się strzelaniny, przesłuchania, akrobacje i mistyfikacje – odbywa się w typowo nolanowskiej, ciasnej, kameralnej scenerii. A Zimmerowi znowu udało się spłodzić coś nawet niezbyt zimmerowskiego (ciekawie pod czyją robotą teraz się podpisał). Mimo że niektórzy narzekają na soundtrack jako zbyt męczący, trudno znaleźć muzę bardziej zintegrowaną z fabułą filmu niż tutaj.

No dobra, wszystko fajnie – ale czemu *Inception* mnie nie powalił? Otóż jak na film, który kreuje się na tak wysoko profilowany jest zaskakująco... prymitywny. Wspomniane już guny – większość trudnych sytuacji we śnie nasi bohaterowie rozwiązują strzelaniną, a cały akt w śniegowej bazie to jedna wielka parabondowska kotłowniana, kompletnie nie pasująca do klimatu filmu. *Incepcja* momentami mocno gubi tempo, oddając się prostackiej akcji; co prawda zaraz potem je odzyskuje, ale negatywne wrażenie pozostaje. Po drugie – prostota narracji całego filmu: Nolan stara się powtórzyć trick z *Prestige*, jednak w wersji bardzo light, dla trudno łąpiącego widza. Nie sądzę, aby znalazł się w kinie ktoś, kto po 15 minutach nie domyśliłby się zakończenia. *Inception* pod żadnym względem nie dorasta *Prestiżowi* do pięt i jest jego naprawdę głupkowatym bratem.

Nie to żebym film uważał za kiepski – biorąc pod uwagę średni poziom hollywoodzkiego śmiecia to po prostu arcydzieło. Oczywiście, że film jest rozwodniony i uproszczony, ale w końcu nie bardziej niż *Batmany*. Akcja jest na tyle prosta, że karki mogą pojąć nawet do 50% fabuły – nawet mimo tego, że dialogi sprawiają wrażenie bełkotu rodem z *Matrixów 2 i 3*, ale w odróżnieniu od tychże obrazów mają sens w wewnętrznej logice filmu (nie żeby to wspomnianym widzom jakoś specjalnie pomogło).

Tak więc niestety – nici z hipersnobistycznych uniesień. Tym niemniej to jednak pozycja obowiązkowa; i nie ma co za bardzo marudzić, bo gdyby każdy film był takim zawodem jak *Inception* – żylibyśmy w pięknym świecie.

Ocena (1-5):

Idea: 5

Incepcja: 4

Ekstrakcja : 5

Fajność: 5

Cytat: I am disappoint.



Przewozy Regionalne blisko ciebie



Kawałek Trona?



Dla innych to zbyt trudna droga



Nie ma łyżki



Lepsza wiara pierwszą klasą lata



Nieźła impreza była

W KRAINIE MORFEUSZA: SEN KOSZMARNY

Tytuł: A Nightmare on Elm Street

Produkcja: USA, 2010

Gatunek: Remake

Dyrekcja: Samuel Bayer

Za udział wzięli: John Connor, Kurgan, Rorschach

O co chodzi: Gość w swetrze w paski zabija teens we śnie.

Jakie to jest: Każdy oczywiście przyzna, że *Freddy* to film absolutnie nie wymagający rimejkowania. I po obejrzeniu wersji nowej można się z tym tylko zgodzić – nie dlatego, że jest ona jakoś specjalnie kiepska, ale dlatego, że pod wieloma względami jest identyczna z oryginałem.

Każdy wie, że stara seria była bardzo przyjemna do oglądania – ale w porównaniu z Cravenowską jedyneką kolejne odcinki popadały coraz bardziej w autoparodię i totalny chaos logiczno-mitologiczny. Nie przeszkadzało to specjalnie; dzięki temu jednak łatwiej było stworzyć remake, któremu trudno jest zarzucić, że nie trzyma poziomu.

Tak więc nowy *Nightmare* to całkiem wierna powtórka z jedynki – zarówno fabularnie, jak i stylistycznie. Tu również główna bohaterka nosi imię Nancy, a sekwencja zdarzeń jest z grubsza zachowana; mamy też powtórki kilku klasycznych scen z serii (wyro, wanna). Nie będę wchodził w szczegóły, bo może ktoś już zapomniał i chce się zaskoczyć.

W kolejnych odcinkach serii (a nawet jeszcze w pierwszym) poważny problem stanowiła niemożność atakowania przez Freddy'ego w realu. Stąd komiczny motyw zasypiania bohaterów we wszelkich nieprzystających sytuacjach (np. na pogrzebie czy na basenie), a także naginanie logiki, aby tylko Freddy mógł coś zdziałać na jawie (łącznie z debilnym przejściem do realu w którymś z dalszych odcinków). W rimejku problem ten pokutuje w postaci jakichś absurdalnych mikro-drzemek, gdzie osoba długo nieśpiąca zaczyna na chwilę śnić na jawie – czyli Freddy może zawitać zawsze i wszędzie.

Bohaterami są jak zwykle generyczne nastolatki, o których trudno powiedzieć cokolwiek –poza tym, że są i że goni ich Freddy. Co najwyżej mogę zaznaczyć, że w odróżnieniu od starocia chyba tylko główna bohaterka mieszka przy Wiązowej, co stawia pod znakiem zapytania zasadność tytułu.

Wiadomel, że lokomotywą ciągnącą wszystkie stare *Koszmary* był Robert Englund i niewątpliwie jego brak najsilniej świadczy o inności rimejku: gdyby zagrał w tym i przemianować film na *Freddy 9* – nikt by się niczego nie czepiał. Tutaj ciężar odpowiedzialności wobec pokoleń oglądaczy wideo wziął na siebie znany i lubiany Jackie Earle Haley. Przyjął on sobie dość słuszną metodę aktorską pod hasłem „kopiuję Englunda”; i, trzeba przyznać, że nawet daje radę. Mimo że nie ma chorej charyzmy starego Freddy'ego, dobrze sobie radzi w „mrocznej” wersji Kruegera. Podobnie jak oryginał Cravena – ten Freddy nie jest dowcipniszem wymyślającym różne żartobliwe śmierci dla swych ofiar (którym stał się w kolejnych odcinkach). Ten Freddy jest poważny i jest czystej krwi boogeymanem, nie autoparodystyczną ikoną (nie żeby się czepiał starych odcinków!). Dzięki temu faktycznie człowiek czuje się przy nim nieswojo – oczywiście o żadnym strachu nie może być mowy, ale Haley dość dobrze tworzy postać anonimowego zabójcy czającego się we śnie. Dodatkowo makeup dość mocno modernizuje klasyczny, ale mało straszący visual Kruegera – na nowego gościa po prostu nie można spokojnie spojrzeć, sam powykrzywiany ryj przywodzi na myśl japońskie horrory. Tak więc nowy Freddy osiągnął co mógł w porównaniu z poprzednikiem. Oczywiście osprzęt pozostał konserwatywnie zachowany: rękawiczka i sweter identiko, kapelusik się ciut bardziej zdefasonował.

No, ale to jedna strona medalu. Druga to Freddy w cywilu, czyli Kruger za życia – i tutaj Haley faktycznie błyszczy bardziej niż kiedykolwiek Englund. Cała geneza postaci i jego przygody w dawnych czasach są znacznie mroczniejsze niż w oryginale, a i sam dawny Freddy o wiele ciekawszy. Tak jak z definicji jestem wrogiem rimejkowania klasyki – to tu muszę przyznać, że pod tym względem nowa wersja mocno nadrabia. A już zupełną wisienką na torcie jest motyw winy lub niewinności Kruegera – oczywiście dramatycznie żaden przełom, ale w konwencji filmu działa idealnie. No, i mamy wreszcie w racjonalny sposób wyjaśniony motyw dzieci z wyliczanką. Generalnie film, póki co, ma w miarę spójną logikę, która pewnie tradycyjnie rozjedzie się w sequelach.

Stylistycznie nowy *Nightmare* kurczowo trzyma się tradycji, ale to się akurat udawało w każdym wypadku. Mroczki, kotłownie, zielono-czerwona paleta – w wersji

współczesnej ćwiczyliśmy to już we *Freddy vs. Jason*. Jako dodatkowy bonus mamy atrakcje w stylu świńskich łbów (bez cameo Pana Pośła) – co zapewne jest echem po nowych *Teksańskich Masakrach* tej samej wytwórni. W filmie jest całkiem sporo oldskulowych efektów praktycznych, ale i kupa CGI – zwłaszcza w mikro-drzemkach. Szkoda, że próbowano w CGI zrimiekować klasyczne efekty typu „Freddy napierający na tapetę” – co wyszło tak sobie.

Tak więc film niezły, choć nie porusza tak jak *FvsJ* – aczkolwiek, jak wspominałem, kolejny zwykły sequel z Englundem też by specjalnie nie poruszył. Warto obejrzeć dla oldskulowego klimaciku i z sentymentu; natomiast ubolewam nad brakiem cameo dawnych bohaterów – może niekoniecznie Deppa, ale sam Robert by się przydał.

Ocena (1-5):

Swetr: 5

Freddy-post: 3

Freddy-pre: 5

Fajność: 4

Cytat: Computer entering sleep mode.

Ciekawostka przyrodnicza: Nie da się ukryć, że film nosi duże podobieństwa do *Predators*, które obejrzałem 10 minut po nim. Oba obrazy są rimejkami kultów z lat '80, w obu jest tajemniczy nadnaturalny przeciwnik – i obaj główni enemi kończą dokładnie w ten sam sposób.

Commander John J. Adams
/www.zakazanaplaneta.pl/

[tytuły od redakcji INFO]



Spane przy otwartym oknie - OK



Podrapać cię?



Kotłownia musi być



Miły odgłos



Uważaj bo łóżko zarwiesz

Bracia Marx

Jedność dzieli się na dwoje.

(Twierdzenie Mao Tse-tunga)

W swoich przepysznych komediach bracia Marx występowali najczęściej we trójkę: Groucho, Chico i Harpo. W porywach dołączał do nich Zeppo, a także (tylko na scenie) Gummo.

Za PRL-u znani byli także inni bracia Marx: Marks, Engels i Lenin (w porywach także Stalin i Mao). Pracowali w tej samej branży – ale reprezentowali Ciemną Stronę Mocy, więc ich humor był czarny jak noc i ciężki jak płyta grobowa. Zainspirowali za to wielu naszych rodaków, którzy tak jak Bareja i Pietrzak dbali o to, *żeby Polska rosła w humor, a ludzie żyli weselej*.

Owi klasycy czarnej komedii starali się sprawiać wrażenie, że znają się absolutnie na wszystkim. Same dzieła Stalina w katalogu biblioteki uniwersyteckiej zajmowały prawie dwie szufladki (rekord Guinnessa murowany). Z kolei Engels, który w tym gronie uchodził za największego mózgowca, wtrącał chętnie swoje trzy grosze do różnych nauk, w tym do matematyki. Z jednym z jego dzieł na jej temat miałem niekłamną przyjemność zapoznać się w ramach obowiązkowych lektur do egzaminu doktorskiego z filozofii. Gdybym miał tę książkę, postawiłbym ją pewnie obok takich rarytasów jak *Nauka Świata Dysku* czy *Wstęp do imagineskopii* Śledzia Otrembusa. Niestety, jestem zmuszony do odtwarzania jej zawartości z pamięci.

Tematem krytyki (jakżeby inaczej) był rachunek całkowy, a konkretnie jego zastosowanie do obliczania objętości brył. Sam pomysł jest bardzo stary i wywodzi się jeszcze od Archimedesesa, który wyprowadzał wzory na objętość przy pomocy prostego zabiegu. Otóż należy pociąć bryłę na bardzo cienkie plasterki i następnie policzyć objętość każdego z nich poprzez pomnożenie pola podstawy przez jego grubość. Po zsumowaniu otrzymujemy przybliżoną objętość bryły (czyli cień tej objętości), która jest tym dokładniejsza, im cieńsze są plasterki. Ostatni etap to przejście do granicy, czyli odtworzenie objętości przy pomocy jej cieni (przybliżeń). Natomiast rachunek całkowy dostarcza metod, które pozwalają to zrobić szybko, bez konieczności oglądania każdego plasterka z osobna.

Do skrytykowania tego pomysłu Engels wytoczył najcięższe działa: stwierdził mianowicie, że materia nie składa się z punktów, tylko z atomów, a więc cała metoda jest z gruntu fałszywa. Dokładna analiza doprowadziła go do wniosku, że matematycy systematycznie pomijają te atomy, które znajdują się w wierzchołkach brył, a zatem wyniki ich obliczeń są do kitu. I co na to powiecie, doświadczeni już czytelnicy tego cyklu? Czy kogoś takiego wpuszczono by do Amberu? Osobiście wątpię.

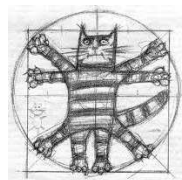
Na zakończenie krótka anegdota. Pewien radziecki matematyk zamieścił kiedyś w swoim artykule następującą informację: *Dowód patrz Lenin, Dzieła, tom XX, str.72, wiersz szósty od góry*. Było to całkiem zgodne z duchem czasu, więc tylko jedna osoba zadała sobie trud weryfikacji. W podanym miejscu było napisane: *To jest prawda*.

Amen.



Andrzej Prószyński

Jak zaaplikować kotu tabletkę



1. Weź kota na ręce i otocz go lewym ramieniem tak, jak się trzyma niemowlę. Umieść palec wskazujący i kciuk prawej ręki po obu stronach pyska i naciśnij lekko trzymając tabletkę w pozostałych palcach prawej ręki. Gdy kot otworzy pysk, wpuść tabletkę, pozwól kotu zamknąć pysk i przełknąć.

2. Podnieś tabletkę z podłogi i wyciągnij kota spod tapczanu. Ponownie otocz kota lewym ramieniem i powtórz cały proces jeszcze raz.

3. Wyciągnij kota z sypialni i wyrzuć rozmamianą już tabletkę.

4. Wyjmij nową tabletkę z opakowania, otocz kota lewym ramieniem jednocześnie trzymając lewą ręką wierzgające tylne nogi. Rozewrzyj pysk kota i palcem wskazującym prawej ręki wepchnij tabletkę tak głęboko, jak się da. Przytrzymaj kotu zamknięty pysk i policz do dziesięciu.

5. Wyciągnij tabletkę z akwarium, a kota z garderoby. Zawołaj żonę do pomocy.

6. Przyduś kota do podłogi klinując go między kolanami jednocześnie trzymając wierzgające przednie i tylne łapy. Nie zwracaj uwagi na niskie warczące odgłosy wydawane w tym czasie przez kota. Niech żona przytrzyma głowę kota, jednocześnie wypychając mu drewnianą linijkę między zęby. Następnie wsuń tabletkę wzdłuż linijki między rozwarte zęby i intensywnie pogłaszcz kota po gardle, co skłoni go do przełknięcia.

7. Wyciągnij kota siedzącego na karniszach i rozpakuj nową tabletkę. Zanotuj sobie, żeby wymienić firanki. Pozbieraj kawałki porcelany z potłuczonej wazy, możesz je posklejać później.

8. Owiń kota w ręcznik kąpielowy, a następnie niech żona położy się na kocie tak, żeby tylko jego głowa wystawała spod jej pachy. Umieść tabletkę w środku plastikowej rurki do napojów. Przy pomocy ołówka otwórz kotu pysk i wcisnąwszy rurkę między rozwarte zęby, mocno wdmuchnij tabletkę do środka.

9. Sprawdź na opakowaniu, czy tabletki nie są szkodliwe dla ludzi, a następnie wypij jedną butelkę piwa, żeby pozbyć się nieprzyjemnego smaku w ustach. Zabandażuj żonie rozdrapane ramię, a następnie przy pomocy ciepłej wody z mydłem usuń plamę krwi z dywanu.

10. Przynieś kota z altanki sąsiada. Rozpakuj następną tabletkę. Przygotuj następną butelkę piwa. Umieść kota w drzwiczkach od kredensu tak, żeby przez szczelinę wystawała tylko jego głowa. Rozewrzyj mu pysk łyżeczką od herbaty i przy pomocy gumki "recepturki" strzel tabletką między rozwarte zęby.

11. Przynieś śrubokręt i przykręć wyrwane zawiasy z drzwiczek na swoje miejsce. Wypij piwo. Weź butelkę wódki. Nalej do kieliszka i wypij. Przyłóż zimny kompres do policzka i sprawdź, kiedy ostatnio byłeś szczepiony na tężec. Przemyj policzek wódką w celu dezynfekowania rany i wypij kolejny kieliszek, aby ukoić ból. Podartą koszulę możesz już wyrzucić.

12. Zadzwonь po straź pożarną, żeby ściągnęli tego pier... kota z drzewa. Przepraszaj sąsiada, który wjechał samochodem w płot próbując ominąć kota przebiegającego przez ulicę. Wyjmij kolejną tabletkę z opakowania.

13. Skrępuj tego drania przy pomocy sznurka od bielizny związując razem przednie i tylne łapy, a następnie przywiąż go do nogi od stołu. Weź grube skórzane rękawice ogrodnicze. Wciśnij tabletkę kotu do gardła popychając dużym kawałkiem poledwicy wieprzowej. Już nie musisz być delikatny. Przytrzymaj głowę kota pionowo i wlej mu dwie szklanki wody wprost do gardła, żeby spłukać tabletkę.

14. Wypij pozostałą wódkę z butelki. Pozwól żonie zawieźć się na pogotowie. Siedź spokojnie, żeby doktor mógł zaszyć ci ramię i wyjąć resztki tabletki z oka. Po drodze do domu wstąp do sklepu meblowego i kup nowy stół.

15. Zadzwonь do schroniska dla zwierząt, żeby zabrali tego mutantą z piekła rodem i sprawdź, czy w pobliskim sklepie zoologicznym nie mają chomików.

Stereo i w kolorze

007

Mój Boże... iza się w oku kręci, a na usta cisną różne wyrazy. Brzydkie wyrazy i jeszcze kierowane pod własnym adresem, bo nie chcę być aż tak stary! Czy to w ogóle możliwe? Przecież ludzie nie żyją tyle, by móc z własnego doświadczenia pamiętać, kim był 007. Bond, James Bond. Kim był kiedyś, kiedy nie wolno mu było być - i już.

Nie tu.

Tu przed Bondem broniły nas fosy, mury, a na murach działa. Do Bonda strzelał stary, dobry i ciągle przeze mnie kochany Nienacki, który najpierw kazał Panu Samochodzikowi pokonać go sromotnie i wyrwać mu trofeum: pamiątnik hitlerowskiego zbrodniarza, nomen omen Haubitza (von), a potem współpracować z nim, ukrytym pod pseudo Święty. Do Bonda strzelał nie mniej ukochany przeze mnie redaktor KTT, któremu zawdzięczam wsparcie w chwilach zwątpienia. „Akyremę” i „Wiadomości z tamtego świata” mam stale pod ręką dla przypomnienia, że choćbym nie wiem jak i na co narzekał, żyję w innym świecie niż żyłem, tak bliskim „tamtemu”, jak sobie tego życzę... i nie bliższym. Tę lekturę powinien zaliczyć każdy. Dla śmiechu. Dla nauki.

Moje pokolenie kochało Bonda. Bond był synonimem stereo i koloru wtedy, gdy były one jak system 7.1 i 3D w świecie, w którym za stereo robił Stereo Hit Unityry. Był synonimem radości, swobody i wolności mówienia zakazanych dowcipów, jak ten z „For Your Eyes Only”, gdy generał Gogol [sic!] leci na spotkanie ze swym agentem, poniewierającym właśnie okrutnie naszego bohatera, helikopterem z białą-czerwoną szachownicą na kadłubie i wypisanym wołami „PZL Świdnik”.

Moje pokolenie odbierało Bonda w sposób bliski ideałowi filmowego Bonda a’ la Roger Moore, lecz zawsze z zachwytem: tu się z komuną nie walczyło, tu się komunę wyśmiewało. Tu komuna padała pod ciosami jednoosobowego oddziału Keystone Kops.

Innego Bonda, tego literackiego, z powieści chwalonych przez Chandlera, nie znało moje pokolenie i nie znają go kolejne. Marzenie Roberta Stillera, który przygotowywał pełną edycję powieści i opowiadań Iana Fleminga (w sumie, nomen omen, 13 tomów), nie spełniło się i już nie spełni. Może dlatego to właśnie tu „In Her Majesty’s Secret Service”, próba poważniejszego potraktowania Fleminga i Bonda, została przez wtajemniczonych skutecznie zdołowana, a legenda o tym, jakoby Lazenby’ego nie chciano zatrudniać po pierwszej próbie, ciągle żyje, choć doprawdy powinna już zdechnąć. Przecież dzisiejszy Bond jest taki jak on!

I moje pokolenie – jak i wszystkie poprzednie – nie zaliczyło Bonda do serii fantastycznonaukowej, choć zrobił to encyklopedysta i autorytet Peter Nicholls – który, to tak na marginesie, w swoim „The World of Fantastic Films” nie zmieścił „Kwiatów dla Algernona”.

Chcieliśmy, by Bond był bardziej rzeczywisty niż był.

Ale... wiek ma też swoje przywileje. Bo w końcu kto tak jak ja może zaświadczyć świadectwem własnych oczu, że to Fleming wygrał, że jakże niewspółcześnie wygrała jakoś i umiejętność podjęcia odważnej decyzji we właściwym czasie. Bondowska seria została „zrebootowana” wraz z serią fantastycznych rebootów: „Star Trek’a”, „Battlestar Galactiki”, nawet „Batmana”. I dała tak rzadkie dziś świadectwo dobrego smaku: w epoce wszechobecnego stereo i koloru spełniła – może niedoskonale, lecz jednak – marzenia tych, dla których wodotryski nie są synonimem jakości: słynny bondowski „teaser” pierwszego zrebootowanego Bonda jest... czarno-biały.

Mam siedemnastoletnią córkę. Moja córka miała swą opinię o przydatności Craiga, jej kolezdy i koleżanki też (nazywali go między sobą „Putinem”). Co dowodzi, że Bond mimo wszystko żyje... a póki on żyje i ja czuję się dobrze. Mimo wieku.

Krzysztof Sokółowski

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY: skr. poczt. 76, 80–325 Gdańsk 37

STRONA: www.gkf.org.pl

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. nacz.), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski, Michał Szklarski

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 300

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

INFORMATOR
256

Texty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji